



Fot. Stanisław Ociepka

Obrazy Jolanty Kłosowskiej

Limanowskie Spotkanie Rodaków

XII Limanowska Gala Przedsiębiorczości

Niezwykły budynek na „Kamieńcu”

Linia kolejowa nadal żyje

**Ostatni z rodziny Noga-Mars
- wspomnienia o Krzysztofie Marsie**

**O limanowskim kinie „Sojusz”
raz jeszcze**

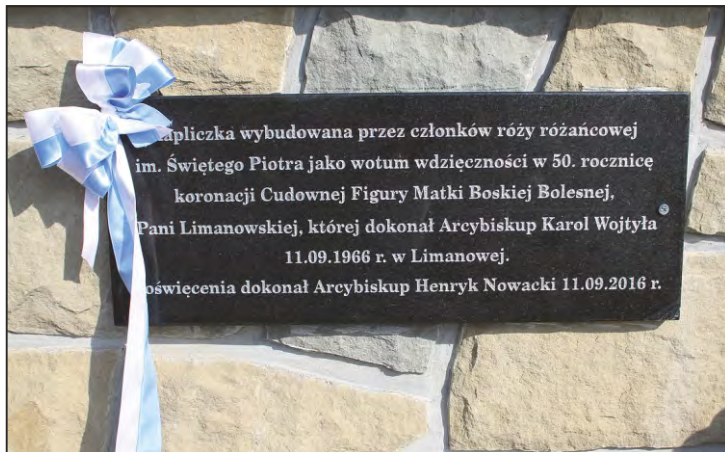
Wspomnienia Alicji Łuka z domu Wrona cz. 1

Oni tworzyli historię naszej świątyni

Z Żuławskimi na Hrubiej Turni

Ostatni lot nad Mogielicą

Poznawcze wartości dawnej prasy



Proboszcz parafii limanowskiej ks. dr Wiesław Piotrowski wita ks. arcybiskupa Henryka Nowackiego - nuncjusza apostolskiego w krajach nordyckich.

Obok: Arcybiskup Henryk Nowacki poświęca kapliczkę.

Poniżej: Parafianie uczestniczący w uroczystości poświęcenia kapliczki.

Pośrodku Stanisław Trojanowski wraz z rodziną - właściciel działki, na której została postawiona kapliczka.

Fotografie: Artur Zapala



O kapliczko biało-brzoza, domku modlitw mych. O Madonno zadumana, w dłoniach niosę Ci modlitwę...

W ciepły czerwcowy dzień 2015 roku, wsłuchując się w sygnaturkę z Miejskiej Góry, obserwowałem panoramę Limanowej. Z ulicy Źródlanej widok na moje rodzinne miasto nigdy nie przestaje fascynować. W pewnej chwili przed bramą mojego domu pojawił się samochód, z którego wysiadł nieznamomy mężczyzna.

– Nazywam się Józef Rusin, przyjechałem tu do pana z pewną misją... Matka Boża podpowiedziała mi, żeby w tym pięknym miejscu powstała kapliczka z Jej Świętą Figurą. Niedługo przywiezę panu rzeźbę, pan zajmie się resztą – dodał z miłym uśmiechem. Oniemiałem na te słowa, jednak mając w zamyśle już od dawna wybudowanie kapliczki, ucieszyłem się w duchu, że jeszcze inni dzielą moje pragnienia.

– Jak Matka Boża tak chce, to dobrze... – odrzekłem, ściskając dłoń nowemu znajomemu. Po kilku dniach przed bramą mojego domu znów podjechał znajomy (już) samochód. Tym razem pan Rusin wyjął z bagażnika zawiniątko i z nabożnym pietyzmem niósł je w moją stronę.

– Przywiezłem Matkę Bożą! – oznajmił rozradowany. Rzeźba była pięknie wykonana – z betonu, pokryta cienką warstwą masy żywicznej, o wymiarach 90x60 cm. Figura była już w moim domu, teraz należało działać.

Serce podpowiadało mi, że to najlepsze wotum wdzięczności za dar koronacji Cudownej Figury Matki Bożej Bolesnej dokonanej 50 lat temu przez arcybiskupa krakowskiego Karola Wojtyłę, późniejszego Papieża i Świętego. Bieżący, 2016 rok to 1050. rocznica Chrztu Polski i Rok Miłosierdzia, czy można znaleźć bardziej odpowiedni moment i lepszą formę dziękczynienia? Takimi argumentami przekonałem zelatora i innych członków Róży Różańcowej im. św. Piotra, do której należą. Oczywiście poparli tę piękną ideę



Jan Rusin (siódmy od prawej) ofiarodawca figury Matki Bożej.



W czasie uroczystości poświęcenia kapliczki.

i obiecali wszelką pomoc. Rzeźbę pięknie pomalowała pani Józefa Kazior, Urząd Miasta wydał odpowiednie zezwolenie na postawienie kapliczki na mojej posesji. W Kamionce znalazłem też świetnych kamieniarzy, którzy wykonali grootę; odpowiedni do jej budowy piaskowiec pochodził z kamieniołomu w Tęczynie.

W Limanowej trwały wielkie przygotowania do 50. rocznicy koronacji Cudownej Figury Matki Bożej Bolesnej, udaliśmy się z zelatorem Róży Różańcowej – Stanisławem Królem do ks. Proboszcza Wiesława Piotrowskiego z prośbą o poświęcenie kapliczki. Ks. Prałat wyraził pełną aprobatę dla naszej idei i zaproponował, ▶

Jola

by zredagować odpowiedni tekst na tabliczce pamiątkowej.

Kapliczka wybudowana przez członków Róży Różańcowej im. św. Piotra jako wotum wdzięczności w 50. rocznicę Koronacji Cudownej Figury Matki Boskiej Bolesnej – Pani Limanowskiej, której dokonał arcybiskup Karol Wojtyła 11.09.1966 r. w Limanowej.

Poświęcenia dokonał arcybiskup Henryk Nowacki 11.09.2016 r.

– Poświęcenia dokona, dokładnie w dniu 50. rocznicy Koronacji Piety – 11 września o 15⁰⁰ w godzinie miłosierdzia, ks. Arcybiskup Henryk Nowacki – oznajmił ks. Prałat. Ta nieoczekiwana wiadomość wprawiła nas w wielkie zdumienie i szczerzy zachwyty. Naszą kapliczkę poświęcą w ważnym dla parafii dniu tak znamienite Osobistości?! To wielki zaszczyt...

Niedziela 11 września była piękna, słońce zawieszono na limanowskim nieboskłonnie jaśniało jak w pełni lata. Punktualnie o godzinie 15⁰⁰ dzwon z wieży Bazyliki przypominał wszystkim o Godzinie Miłosierdzia. Na ulicy Źródlanej licznie zgromadzeni wierni – moja rodzina, członkowie Róży Różańcowej, sąsiedzi, parafianie oczekiwali na uroczyste poświęcenie kapliczki i odsłonięcie pamiątkowej tablicy. Aktu tego dokonał ks. Arcybiskup Henryk Nowacki w asyście ks. Prałata Wiesława Piotrowskiego i ks. Infułata Władysława Kostrzewy.

Ks. Arcybiskup po poświęceniu i wspólnym odmówieniu koronki, tymi słowami zwrócił się do zgromadzonych uczestników:

Moi kochani, to niezwykle piękny i wzruszający moment. (...) 50 lat minęło, a pobożność i miłość do Matki Bożej rośnie, cały czas się rozwija. 50 lat temu niektórzy z nas brali udział w koronacji MBB, wielu nie pamięta, bo byli małymi dziećmi. Dziś widzę tu małe dzieci, które będą niedługo dorosłe... Wiara musi być przekazywana, wiara jest ogromnym darem, nie zdajemy sobie z tego sprawy, bo wierzymy. (...) Dziś widziałem na mszy św. wiele rodzin, to mnie najbardziej cieszy, bo wiara przekazywana przykładem jest najcenniejsza. Dlatego proszę Was, byście gromadzili się na wspólnej modlitwie przy tej kapliczce, uczcie kolejne pokolenia pięknej pobożności i szczerzej miłości do Matki Bożej, bo to wielki dar i odpowiedzialność.

Takiej prośby nie sposób nie realizować. Już niebawem do echa limanowskich dzwonów dołączy się modlitwa przy pamiątkowej kapliczce przy ulicy Źródlanej.



Jolanta Kłosowska w rodzinnym „gnieździe”.

Fot. Zbigniew Sułkowski

Parę słów refleksji osobistej po wystawie obrazów Jolanty Kłosowskiej w limanowskim muzeum.

To szczególna wystawa...

Tuż po śmierci autorki, przygotowana przez najbliższych, więc i emocjonalna w aranżacji, i wyraz hołdu. Męża Żonie i córek Mamie.

Artystę przeżywają jego dzieła. Znikoma to pociecha dla rodziny czy przyjaciół, ale pociecha.

Wystawione w dwóch salach limanowskiego muzeum prace to niemal wyłącznie portrety, jeśli nie większość, to wielką część stanowią wizerunki osób z najbliższej rodziny Joli i jej autoportrety.

Więc przede wszystkim dzieci. Dzieci to temat dla malarza portrecisty wdzięczny, bardzo przy tym trudny, dlatego nie pomijali go twórcy ambitni – Boznańska, Wyspiański, Malczewski, Makowski, Pankiewicz czy Muszyńska – Zamorska w czasach już nam współczesnych. Portrety autorstwa Jolanty wykonane pastelem, olejem czy inną techniką urzekają kolorystyką, dziecięce buzie w ciepłych barwach emanują spokojem i pogodą. Jest stereotyp, może naiwny, ale potrzebny, że dzieci to dobra nowina i nadzieja na lepszy świat, który stworzą.

Co z tego wyniknie jak dorosną?

Na przykład towarzysz życia, mąż, też artysta bezlitośnie uwieczniony na dużym płótnie w gargantuicznej postaci, za to na innych portretach z rozwłóknienia pastelowych kredek wyłania się na kształt ni to dziada z „Wesela”, ni greckiego boga.

Jeszcze bardziej bezwzględna jest Jolanta portretująca siebie. Silny akcent przemijalności obecny w twórczości kobiet, zwłaszcza w literaturze, zanikł w czasach dzisiejszych. Obiektywnie dłużej jesteśmy młodzi, a reklamy wmawiają nam ten okres do 65-go roku życia. Bo czas daje się oszukiwać, choć nie da się z nim wygrać. Autoportrety Joli mówią – jestem młoda i piękna, ale nie upiększona. A to ja, już matka i babcia, sterana życiem i codzienną babską robotą.



Powyżej: Jolanta i Zygmunt Klosowscy w pracowni. Fot. Zbigniew Sułkowski
 Obok: Zygmunt Klosowski na wernisażu w limanowskim muzeum. Fot. St. Ociepka

Przejmujące są te najpóźniejsze, mówiące tak wyraziście o cierpieniu, okrutniejszym o niszczenie kobiecej urody. Ale i w tym jest piękno. Piękno życia, każdego jakie jest. Bo cała malarska twórczość Jolanty, w kręgu przyjaciół artystów zwanej Jonatą, była do samego końca wielką afirmacją życia. Tym cenniejszego, im bardziej kruchego.

Reportaż zdjęciowy z wystawy Jolanty Klosowskiej na stronach: 34-35

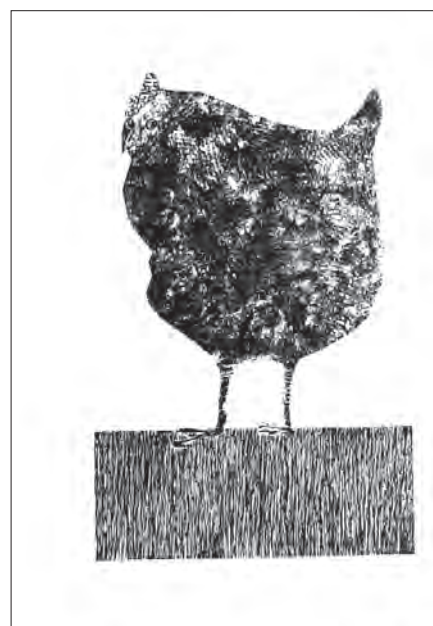
„Podwórkowe persony” Joanny Raczek

Tytuł wystawy prac artystycznych, jeśli już jest, ma istotne znaczenie dla zrozumienia czy bodaj odbioru prezentowanych prac. „Podwórkowe persony”- już na afiszu zestawione z wizerunkiem domowego drobiu, mogłyby na samym wstępie wskazywać na rodzaj artystycznego żartu, tym bardziej, że rzadkie dziś słowo „persona” ma zabarwienie raczej ironiczne, niemniej...

Persona to nie tylko ważna – pożądana lub nie – osobistość, ale i konkretna indywidualność człowieka – to, co każdego wyróżnia w społeczności; owo „ja” do którego poszanowania ma prawo. Stąd metafizyczny czy religijny *personalizm*, a także istotna w omawianym przypadku *personalizacja* - przypisywanie w literaturze (i sztuce) cech osoby ludzkiej rzeczom i istotom żywym. Z tym ostatnim był zawsze w chrześcijańskiej Europie problem obyczajowy i teologiczny, chociaż:

Tylko w Średniowieczu mogło się zdarzyć, że budowniczy katedry w Laon we Francji uczcili i uhonorowali woły wyciągające budulec na wysoką skarpe, stawiając im na świątyniach płasko gotyckich wieżach pomniki... Tylko w Średniowieczu mógł św. Franciszek głosić kazania do ryb i ptaków... a wilk przez niego nawrócony mógł wręcz zostać obywatelem honorowym Gubbio.

/Ks. Stanisław Musiał SI
 „Dwanaście koszy ułomków”/



► Dodajmy, że w naszej polskiej obyczajowości do początku XX wieku zwierzętom domowym imion ludzkich, jako chrześcijańskich nie nadawano. Wyjątkiem w polskiej wsi szczególnym były konie, stąd liczne wśród nich Kuby i Baški (chciałoby się dodać Beaty, ale to imię przed laty na wsi nie było znane).

No dobrze, niech już będzie persona koń, którego w zaprzęgu gospodarskim i dziś jeszcze w Limanowej spotkać można, ale pospolita i niedorzeczna kura? Do tego na obrazach i nie jako sztafarz, a motyw główny tematycznej ekspozycji?

Był w historii malarstwa polskiego czas, gdy tematykę obrazów dzielono na godną (wielkie płótna Matejki, Siemiradzkiego itd.) i mało godną. Ta ostatnia dopuszczalna była na obrazach niewielkich. *Tak mało podniosły temat on rozmalował na taką wielkość!!!* - gorszono się w kręgach opiniotwórczych.

Dopiero krytyk i malarz Stanisław Witkiewicz (ojciec) energicznie przeciw temu zaprotestował: *Wielkość płótna to decyzja malarza, który za nie zapłacił, a nie krytyków!*

I tłumaczył dalej: *jeśli takie samo światło wieczorne pada i na Zamoyskiego pod Byczyną i na Kaśkę zbierającą buraki, to o wartości obrazu decyduje, kto z twórców lepiej ów efekt świetlny uwieczni.* Czyli nie temat, a artyzm obrazu.

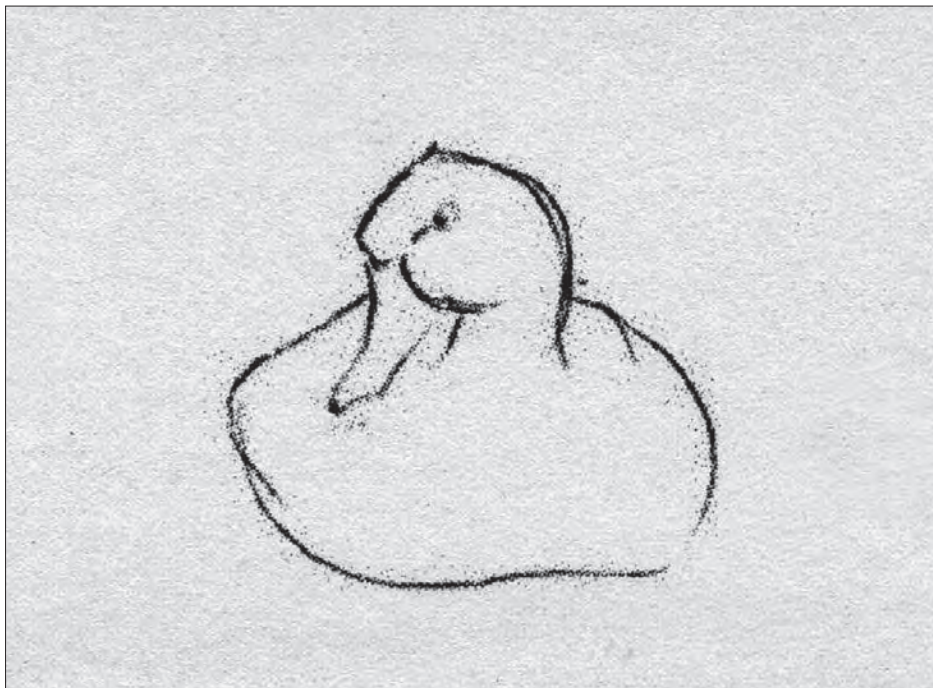
To istotne, chociaż nie można powiedzieć, że odbiorcą sztuki nie interesuje tematyka, tak przecież różnorodna – pejzaż, portret, akt, scena rodzajowa, martwa natura czy w najszerszym tego słowa pojęciu obraz abstrakcyjny. I „Podwórkowe osoby” Joasi Raczek.

Podwórkowe!

Jadąc gdzieś niedawno, ominęliśmy stojące na środku drogi obstrzępione indywiduum kurze nieokreślonej płci. Pewnie jakimś sposobem wypadło to z transportu i znalazło się - wyhodowane w klatce - w zupełnie niezrozumiałym, wrogim świecie. Czeka więc pokornie na swój los, bo w gruncie rzeczy obojętne mu - gilotyna w łeb, czy koło od Lanosa w nery.

I tylko refleksja smętna, że wykluczyło się to, pewnie w sztucznej wylęgarni, z jaja, które zniosła nie sztuczna kura, może i taka z podwórza.

Wolna. Bo te wiejskie kury i pozostały drób cieszy się swobodą pełniejszą niż niejedna społeczność ludzka. Żyje na miarę swojego czasu, z filozoficznym podejściem do spraw swej egzystencji.



A w ramach tzw. instynktów stadnych kura nie gorsza od ludzi. I żyjąc w stadzie, nie traci swej osobniczej odrębności. Odróżnia się nie tylko barwą czy deseniem upierzenia, ale i sposobem bycia. Wystarczy poobserwować.

Zresztą widać to w zestawie rysunków czy innych plastycznych wyobrażeń Joanny. Domowe ptactwo podpatrzone w różnych ujęciach i pozach, charakterystycznych dla gatunku ale i „samoswoich”, gdy taka dla przykładu kaczuszka przekrzywia głowę, by spojrzeć od dołu jednym okiem, to zdaje się, że ta kwieteria tylko dla ciebie. Warto też zwrócić uwagę na „Obrażoną kurę” w całym jej niesamowitym dostojeniu, bo w rzeczy samej cóż wiemy, co burzy się w ptasiej głowie?

Sztuki plastyczne mają ukazywać piękno rzeczy tego świata, zwłaszcza to trudno dostrzegalne przez ich niedostępność lub paradoksalnie zbyt dużą dostępność, gdy spowszedniały wielokrotnie mijane. Joanna zwraca naszą uwagę także zastosowaniem technik specjalnych grafiki jak np. akwaforta czy akwatinta, ale godne uwagi są też zwykłe rysunki tuszem. Zwykle, lecz trudne. Spróbujcie jednym ruchem, bez odrywania pisaka od papieru nakreślić zasadniczy kształt kury czy kaczki...

„Podwórkowe osoby” to krok na drodze twórczej Joanny Raczek interesujący i na pewno dla przyszłości istotny.

Zbigniew Sułkowski



Dług pamięci – Kazimierz Dziadoń

15 października 2016 roku tłumnie pożegnaliśmy w Tymbarku zmarłego nagle Kazimierza Dziadonia, ofiarnego społecznika, zawodowo w pełni związanego z rzemiosłem i samorządową organizacją Cechem Rzemiosła i Przedsiębiorczości w Limanowej, w którym od wielu kadencji przewodniczył zarządowi jako Starszy Cechu.

Urodził 11 lutego 1943 r. w Zamieściu. Przez cały czas swojej pracy zawodowej (łącznie z okresem obowiązkowej służby wojskowej) związany był z wykonywaniem wyuczonego zawodu mechanika samochodowego, w którym uzyskał tytuł mistrza.

W 1979 r. uruchomił własną działalność gospodarczą, otwierając w Zamieściu zakład ślusarstwo mechaniki pojazdowej, w którym do końca służył pomocą i fachową usługą przez 37 lat. Przez cały okres swojej działalności zawodowej dzielił się swoją fachową wiedzą – wyszkolił w wykonywanym zawodzie blisko czterdziestu uczniów.

Od początku swojej pracy był zaangażowany w działalność samorządowej organizacji limanowskich rzemieślników, pełniąc kolejno funkcje: Członka Zarządu Cechu i Podstarszego Cechu (od 1985 r.), a od 1998 r., Starszego Cechu w Limanowej. Uczestniczył w działalności Izby Rzemiosła i Przedsiębiorczości w Nowym Sączu, pełniąc funkcję w Zarządzie Izby oraz Komisji Egzaminacyjnej.

Swoim społecznikowskim, ofiarnym zaangażowaniem udzielał się w całym swoim otoczeniu, począwszy od działalności w społecznym Komitecie gazyfikacji osiedlowej i wodociągu osiedlowego. Był jednym ze współzałożycieli chóru parafialnego i strażackiej orkiestry dętej „Tymbarski Ton”. Pełnił funkcję radnego gminnego i powiatowego, a przez trzydzieści cztery lata intensywnie działał w tymbarskim OSP. Przez dziesięć lat był prezesem zarządu, a przez pięć lat prezesem szczebla gminnego związku i zarazem wiceprezesem szczebla powiatowego. Był również w Radzie Zatrudnienia i Radzie Przedsiębiorczości przy Starostwie Powiatowym w Limanowej, Zarządzie Banku Spółdzielczego Rzemiosła w Tymbarku i Auto Moto Klubie w Limanowej.

W uznaniu za społeczne zaangażowanie i zasługi został odznaczony i wyróżniony wieloma odznaczeniami: państwowymi i resortowymi, między innymi: Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Srebrną, Złotą i Platynową odznaką za szkolenie uczniów, Srebrnym, Złotym i Platynowym Medalem za Zasługi dla Rzemiosła im. Jana Kilińskiego i najwyższym rzemieślniczym odznaczeniem „Szablą Kilińskiego”. Otrzymał także Złoty Znak Związku OSP RP, Medal Honorowy Bolesława Chomicza, Złoty i Srebrny Medal za Zasługi dla Pożarnictwa.

Śp. Kazimierz był dobrym, przyjaznym i uczynnym dla każdego człowieka.

Przyjaciele



Kazimierz Dziadoń 1943-2016



Jedno z ostatnich publicznych wystąpień Kazimierza Dziadonia w czasie Jubileuszu 50-tychlecia koronacji Piety limanowskiej - 18 września 2016 r.

Pierwsze w historii miasta Gimnazjum i Liceum

Zofia Wiśniewska



Przed budynkiem Miejskiego Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnego - 1947 rok. W grupie stoją m.in. Zbigniew Fleszar - starosta limanowski, Stanisław Ceglarz, i Antoni Bieda - założyciele pierwszej szkoły średniej w Limanowej, Eugenia Naturska - nauczycielka języka polskiego.

Limanowa do 1945 roku nie miała gimnazjum i liceum. Dlatego młodzież, która pragnęła zdobywać wiedzę, musiała korzystać ze szkół średnich w Nowym lub Starym Sączu, Tarnowie, Bochni lub innych bardziej odległych miejscowościach.

Dopiero dzięki połączonym wysiłkom znanych pedagogów – p. Antoniego Biedy i p. Stanisława Ceglarza udało się już w styczniu 1945 r., zaledwie w kilka dni po wyzwoleniu miasta z rąk okupanta, uzyskać zgodę na zorganizowanie na bazie tajnego nauczania pierwszej w historii Limanowej szkoły średniej – Miejskiego Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnego. Była to placówka prywatna. W jej skład wchodziło – czteroletnie gimnazjum i dwuletnie liceum o profilu matematyczno – fizycznym i humanistycznym. Zatem nauka w tej szkole trwała 6 lat. Po 4 – letnim gimnazjum trzeba było zdawać tzw. małą maturę, a po kolejnych dwóch latach „dużą”, która uprawniała do podjęcia studiów, naturalnie po pomyślnie zdanym egzaminie wstępnym.

Ponieważ był to zakład prywatny, uczniowie musieli płacić czesne niezbędne na pokrycie wynagrodzeń dla pedagogów.

We wrześniu 1945 r. Wydział Powiatowy w Limanowej przejął finansowanie kosztów rzeczowych placówki, która przyjęła nazwę: Powiatowe Koedukacyjne Liceum i Gimnazjum w Limanowej. Uczniom korzystającym w czasie okupacji z tajnego nauczania, którzy przedstawili odpowiednie dokumenty, zaliczono zdobyty zakres wiedzy programowej i skierowano do odpowiednich klas.

Pierwszy egzamin maturalny w nowo otwartej placówce miał miejsce 9 lipca 1945 r. Przystąpiło do niego 21 uczniów. Wszyscy zdali. Uczniowie, którym wojna skutecznie przeszkodziła w zdobyciu wykształcenia, po otwarciu szkoły średniej w Limanowej, czynili to w systemie skróconym, realizując w ciągu roku program dwóch klas. Zaraz też wprowadzono modyfikacje programowe zwłaszcza do j. polskiego i historii, w których usunięto niewygodne dla nowego systemu fakty historyczne i lektury.

Powstały prywatny zakład nauczania otrzymał uprawnienia szkoły państwowej na rok 1945/46, a potem należało kolejno po nie występować. Dopiero w 1948 roku Ministerstwo Oświaty takie

uprawnienia przyznało do odwołania.

Zmiany w szkolnictwie powojennym następowały bardzo szybko. W 1947 r. połączono gimnazjum i liceum w czteroletnie liceum, a w rok później stało się jedenastoletnią szkołą ogólnokształcącą jako klasy VIII-XI.

W kolejnym roku Ministerstwo Oświaty wydało zarządzenie obowiązujące od 1 kwietnia 1949 r. o utworzeniu Państwowej Szkoły Ogólnokształcącej stopnia licealnego w Limanowej. Pierwszym dyrektorem tej placówki został p. prof. Szczepan Gajewski.

Ostatnią klasą realizującą przedwojenny program nauczania (4 lata gimnazjum i 2 lata liceum) byli uczniowie, którzy po 6 klasie szkoły podstawowej, we wrześniu 1945 r. podjęli naukę w gimnazjum, przeszli cały cykl zmian i zdawali maturę w maju 1951 r.

Do tej pory żyje ich tylko garstka. Myślę, że to wyjaśnienie tłumaczy, dlaczego w poprzednim artykule pt. „Co nam zostało z tych lat” napisałam, że nasza droga do matury trwała 6 lat (1945-1951).

Fotografie: arch. albumu „Okrucy pamięci”



Limanowska Gala Przedsiębiorczości

Coroczne listopadowe święto limanowskiej przedsiębiorczości tym razem XII edycji odbyło się 18 listopada 2016 r. w LDK. Tradycyjnie organizatorami Gali Przedsiębiorczości byli: Powiat Limanowski wraz z Regionalnym Stowarzyszeniem Przedsiębiorców z siedzibą w Limanowej, a także Powiatowy Urząd Pracy.

Patronat honorowy przyjęli: Elżbieta Bieńkowska, Komisarz UE ds. rynku wewnętrznego, przemysłu, przedsiębiorczości i MŚP, Ministerstwo Finansów z Wiesławem Janczykiem, Sekretarzem Stanu w Ministerstwie Finansów oraz Jacek Krupa, Marszałek Województwa Małopolskiego.



Elżbieta Bieńkowska - Komisarz UE poprzez multimedialny obraz przemówiła do zebranych na XII Limanowskiej Gali Przedsiębiorczości.

XII Limanowska Gala Przedsiębiorczości

Coroczne Święto Limanowskiej Przedsiębiorczości ma na celu podkreślenie roli i znaczenia firm, które funkcjonują w regionie i które mają wpływ na gospodarczy rozwój powiatu limanowskiego. Wciągu ostatnich 11 lat zaprezentowane zostały sukcesy i osiągnięcia prawie 400 firm, które odebrały nagrody i wyróżnienia w kilku kategoriach. Gala jest również podziękowaniem dla ludzi, którzy tworzą przyjazny klimat wokół przedsiębiorczości.

Po oficjalnym powitaniu gości, poprzez multimedialny obraz przemówiła Komisarz Elżbieta Bieńkowska, która nie mogła osobiście uczestniczyć w uroczystości.

Następnie wyróżnionym przedsiębiorcom przyznano Krzyże Zasługi, które wręczył Piotr Ćwik, wicewojewoda małopolski. Srebrnym Krzyżem Zasługi uhonorowano Halinę Zapałę, natomiast Brązowym Krzyżem Zasługi odznaczono Bogusława Wardzała i Piotra Zajęca. Wręczono również honorowe medale wraz z tytułem „Zasłużony dla

Powiatu Limanowskiego”. Tego rodzaju medale przyznaje się osobom za szczególne zasługi. W tym roku medal i tytuł „Zasłużony dla Powiatu Limanowskiego” otrzymali: Biskup Tarnowski Andrzej Jeż, Stanisław Gągała, były prezes Regionalnego Stowarzyszenia Przedsiębiorców.

Podczas Gali wręczone także zostały pamiątkowe medale limanowskiej gali przedsiębiorczości wraz z tytułem „Przyjaciel Limanowskiej Przedsiębiorczości”, które mają charakter szczególnego uznania za podejmowane inicjatywy i budowanie dobrego klimatu wokół lokalnej



przedsiębiorczości. Medale otrzymali, za rok 2015: Wiesław Janczyk, poseł na Sejm RP i Marek Sowa, poseł na Sejm RP, marszałek województwa małopolskiego w latach 2010-2015. Zaś za rok 2016 medale otrzymali: Władysław Bieda, burmistrz Limanowej, Sławomir Kalisz, przedsiębiorca, członek PSP, Jacek Krupa, marszałek województwa małopolskiego, Ryszard Kulma, prezes Krakowskiej Kongregacji Kupieckiej oddział w Limanowej, Urszula Nowogórska, przewodnicząca sejmiku małopolskiego, Józef Pilch, wojewoda małopolski, Piotr Świeży, pełnomocnik wojewody ds. orderów i odznaczeń państwowych, Mieczysław Uryga, wicestarosta powiatu limanowskiego.

Następnie ogłoszono listę laureatów dorocznego konkursów przeprowadzonych w określonych kategoriach. W kategorii „Debiut Gospodarczy roku 2016” swoje osiągnięcia zaprezentowały 23 firmy. Spośród tych firm kapituła konkursowa wyłoniła 4 nominowane: Tomasz Mrózek Usługi Stolarskie Jurków, Kazimierz Bukowiec Żmiącka Suszarnia Żmiąca, Karol Jędrzejek L-INVEST Laskowa, Anna Kądziołka Centrum Edukacji i Rozwoju eMKA Kasina Mała.

Laureatem konkursu „Debiut Gospodarczy Roku 2016” została firma Kazimierza Bukowca Żmiącka Suszarnia.

Następną kategorią był „Lider Biznesu 2016”. O tytuł ten ubiegało się 20 firm, nominację otrzymały firmy: Biuro Obrotu Nieruchomościami PROHOUSE Jolanta Jędrzejek Limanowa, „RE-BUD” Firma Usługowa Bogusława Darowska Limanowa, Gospodarstwo Sadownicze Wincenty Krzyżak Żmiąca, PAWLIMEX firma Produkcyjno – Usługowo – Handlowa Paweł Wojak Stara Wieś, „Partner – Alma” Stach, Król Sp. J. Limanowa, Bank Spółdzielczy w Limanowej, INSTAR Spółka Jawna Marek Czamara, Józef Hajdyła, Jan Pytel Limanowa.

Tytuł „Lider Biznesu 2016”, w kategorii małych i średnich przedsiębiorstw otrzymał PAWLIMEX Paweł Wojak, Stara Wieś, zaś w kategorii dużych przedsiębiorstw INSTAR Spółka Jawna Marek Czamara, Józef Hajdyła, Jan Pytel.

Kolejną kategorią był „Lider Biznesu – Laureat Internautów 2016”. To nowa kategoria po raz pierwszy wprowadzona w tym roku. Laureat został wybrany poprzez głosowanie, które przeprowadził portal Internetowy. Podanych do głosowania było 10 firm. Nominację otrzymały trzy firmy: Biuro Obrotu Nieruchomościami „PROHOUSE” Jolanta Jędrzejek, Gold Drop Sp. z o.o.



Ks. bp Andrzej Jeż - Ordynariusz Tarnowski oraz Stanisław Gągała - prezes firmy Gold Drop uhonorowani zostali medalem i tytułem „Zasłużony dla Powiatu Limanowskiego”.



Pamiątkowe medale wraz z tytułem „Przyjaciel Limanowskiej Przedsiębiorczości” otrzymali (od lewej): Mieczysław Uryga, Urszula Nowogórska, Ryszard Kulma, Leszek Zegzda (medal odebrał w im. Jacka Krupy), Sławomir Kalisz, Władysław Bieda, Marek Sowa, Wiesław Janczyk. Obok stoją: Barbara Merkowska, Józef Oleksy, Maciej Wojtas - członkowie Zarządu Regionalnego Stowarzyszenia Przedsiębiorców.

Stanisław Gągała, prezes, Organizacja i obsługa Imprez SOUNDLIGHT Tymbark, Daniel Smoter. Laureatem „Lider Biznesu – Laureat Internautów 2016”, została Firma Gold Drop.

Kolejną nagradzaną kategorią był „Pracodawca Roku”. W tej kategorii nominację otrzymały cztery firmy: Zakład Remontowo-Budowlany Józef Kurzydło, Elektrycal Zakład Elektroinstalacyjny Wilhelm Mrozek, Bank Spółdzielczy w Limanowej, Gospodarstwo Sadownicze Wincenty Krzyżak. Tytuł „Pracodawca Roku 2016” otrzymał Wincenty Krzyżak Gospodarstwo Sadownicze.

Przyznano także wyróżnienia „Za działalność charytatywną wśród lokalnej

społeczności” dla Czesława Szynalika i Adama Dudka.

W czasie Gali Przedsiębiorczości zarówno organizatorzy jak i nagrodzeni, a także zaproszeni goście zabierali głos. Urszula Nowogórska, przewodnicząca małopolskiego sejmiku wojewódzkiego powiedziała: „Bardzo mnie cieszy, że każdego roku ta gala jest piękniejsza, że każdego roku jest nas więcej, że są tu obecne kolejne firmy, które budują tą limanowską markę”.

Na zakończenie XII Gali Przedsiębiorczości wystąpił Jacek Stachurski, wykonawca muzyki z pogranicza gatunków pop i dance.

Stanisław Ociepka



Nagrodzeni w kategorii „Debiut Gospodarczy Roku”.



Stanisław Gągała, prezes firmy Gold Drop odebrał nagrodę „Lider Biznesu - Laureat Internautów 2016”.



Nominowani w kategorii „Lider Biznesu Powiatu Limanowskiego”.

Fotografie: Wydział Promocji Starostwa Powiatowego



Limanowskie Spotkanie Rodaków w 2016 r.

Andrzej Kulig

W poniedziałek 31 października 2016 r. o godz. 18⁰⁰ w Limanowskim Domu Kultury odbyło się III Limanowskie Spotkanie Rodaków. Jesienne spotkania w Limanowej organizowane są przez Władysława Biedę, Burmistrza Miasta. Mottem spotkania była myśl: „Tam dom Twój, gdzie serce Twoje”.

Pan Burmistrz Miasta Limanowa, Gospodarz spotkania, powitał ponad 100 Rodaków zebranych w sali widowiskowej LDK. Następnie przedstawił

krótką historię dotychczasowych spotkań, które są organizowane od 2014 roku. Ich korzenie sięgają spotkań limanowian w Warszawie na początku

bieżącego stulecia. Część zamiejscowych uczestników spotkania zjawiało się w Limanowej w związku ze Świętem Zmarłych. Ja pierwszy raz miałem okazję wziąć udział w spotkaniu, a o przebiegu poprzednich dowiedziałem się od ich uczestników.

Wymieniony w programie pokaz filmu promocyjnego o Limanowej został zastąpiony prezentacją slajdów, przedstawiających zdjęcia miasta z okresu ostatnich kilkudziesięciu lat. Tradycyjne, retrospektywne ujęcie tematu: „Wczoraj i dzisiaj w Limanowej” dla każdego z uczestników spotkania, w zależności od wieku, oznaczało coś innego, ale to, że zachodzą w mieście zmiany, nie budzi niczyjej wątpliwości. Burmistrz zmienia miasto od 2010 r., rozwijając m.in. jego infrastrukturę podziemną (rozbudowa sieci wodociągowych i kanalizacyjnych) oraz naziemną¹. Szczególnie dobrze widać te zmiany na przykładzie inwestycji drogowych. W kalendarzach na rok 2016 i 2017 wydanych przez Urząd Miasta Limanowa, w formie interesujących zdjęć „z lotu ptaka” (a raczej drona) zostały przedstawione nowe rozwiązania komunikacyjne. W oficjalnej części spotkania głos zabrali: Andrzej Ryś, od 2006 roku odpowiedzialny za sprawy zdrowia publicznego w Komisji Europejskiej, oraz limanowscy posłowie VIII kadencji Sejmu, którzy od roku zmieniają Polskę (długo by o tym pisać...).

Limanowskie Spotkanie Rodaków uświetnił koncert Męskiego Zespołu Wokalnego Filharmoników Krakowskich pod przewodnictwem pochodzącego z Limanowej doktora Marcina Wróbla. W pierwszej części zaprezentowano kompozycje Henryka Warsa, a w drugiej piosenki Kabaretu Starszych Panów. Koncert był trafioną propozycją, odpowiednią do charakteru spotkania oraz uczestniczących w nim Rodaków. Spodobał się zebranych na sali LDK, bo gromkimi brawami nagrodzili wykonawców i prosili o więcej. Na bis Zespół zagrał i zaśpiewał pieśń Hallelujah, przebój Leonarda Cohena (21 września 1934 – 7 listopada 2016) – kanadyjskiego poety, pisarza, muzyka i wokalisty, m.in. wykonawcy:



Uczestnicy spotkania w sali widowiskowej Limanowskiego Domu Kultury



Męski Zespół Wokalny Filharmoników Krakowskich na koncercie w Limanowej



Spotkanie okolicznościowe Rodaków, w środku J. Sz. Wroński podczas rozmowy z autorem



Spotkanie towarzyskie w restauracji „Siwy Brzeg”, od lewej: Władysław Bieda - Burmistrz Miasta Limanowa; Leszek Mordarski - muzyk i nauczyciel wiedzy o kulturze; Andrzej Ryś - polityk, lekarz, dyrektor w Komisji Europejskiej; Jacenty Musiał - dyrektor Gminnej Biblioteki Publicznej w Starej Wsi; autor; Włodzimierz Sukiennik - Wiceprezes Zarządu Europejskiego Stowarzyszenia Promocji Zdrowia „Pro-Salutem”, menedżer, Honorowy Prezes Polskiej Izby Turystyki; Jerzy Wrona - przedsiębiorca.

Dance Me to the End of Love i *Democracy*, którego ojciec był polskiego pochodzenia. Przypuszczam, że taki dodatek tylko zwiększył apetyt publiczności, więc jedynym „ratunkiem” Zespołu było ponowne wykonanie kołysanki „*Ach, śpij kochanie*”.

W restauracji „Siwy Brzeg” odbyła się druga, mniej oficjalna część okolicznościowego spotkania. Podczas poczęstunku była okazja do nieformalnych spotkań ze znajomymi, koleżankami i kolegami ze szkolnych lat, a także nowopoznanymi osobistościami i mieszkańcami miasta. Ja spotkałem się m.in. z Jerzym Wroną

i Leszkiem Mordarskim, organizatorami zjazdu absolwentów Szkoły Podstawowej im. Marii Konopnickiej w Limanowej Nr 1 w 45. rocznicę jej ukończenia, obejmującego klasy VIII A, B i C z rocznika 1969/70². Była więc okazja do dyskusji w formule biznesowo-kulturalno-naukowej. Zamieniłem też kilka zdań z dr hab. Józefem Szymonem Wrońskim, dr hab. Włodzimierzem Sukiennikiem, ks. Stanisławem Wojcieszakiem, Jacentym Musiałem, Pawłem Odziomkiem i Janem Kurkiem. W tej luźnej konwencji niektórzy uczestnicy, zaproszeni przez Pana Burmistrza, zabrali głos publicznie,

oceniając znaczenie spotkania, dzieląc się wrażeniami z obserwowanych w mieście zmian, a nawet formułując uwagi krytyczne dotyczące bieżących problemów miasta. Głos zabrali m.in. starosta Jan Puchała, reżyser filmowy Artur Więcek, lekarz Julian Dutka, Andrzej Ryś, Danuta Wasserbauer, Marian Wójtowicz i Zdzisław Mól. Muzyk L. Mordarski poinformował zebranych o kolejnym sukcesie Zespołu instrumentalno-wokalnego Consonans, którego jest opiekunem³. Na koniec wypowiedzi zaproponował, aby na kolejne spotkanie przygotować pamiątkowy znaczek dla jego uczestników.

Przy okazji mniej oficjalnych wypowiedzi zasłyszalem wiele limanowskich nowinek, ciekawostek, ale i interesujących uwag oraz spostrzeżeń. Wynikało z nich m.in., że w Limanowej brakuje „*Okruchów pamięci*”⁴. Padały pytania, gdzie można je zakupić. Czy nie nadszedł czas, aby pomyśleć o wznowieniu tych albumów? Jeżeli już o wydawnictwach (a szerzej obszarze kultury) mowa, to warto dodać, że podobne uwagi dotyczyły „*Księgi limanowian*”⁵. Wygląda na to, że Limanowianie pamiętają i doceniają te publikacje, czują, że ich brakuje i oczekują wsparcia inicjatyw autorskich w tym (społeczno-kulturalnym) zakresie.

Uczestnicy spotkania, czyli „*Ludzie stąd*”⁶, wyrażali wiele pozytywnych opinii o jego przebiegu, dlatego rozmowy i dyskusje przeciągnęły się do godzin nocnych.

Andrzej KULIG
Warszawa, listopad 2016 r.
Fotografie: ze zbioru Urzędu
Miasta Limanowa.

¹ *Informator Miejski*. Nr 21 Październik 2016 r.; www.miasto.limanowa.pl.

² Kulig A. (2015): *Zjazd absolwentów Szkoły Podstawowej Nr 1 w 45. rocznicę jej ukończenia*. „EL” Nr 250-251. Rok XXII lipiec-sierpień, s. 16-18.

³ Bogatą historię Zespołu można poznać dzięki monografii pt. „*Z gitarą i mikrofonem przez 45 lat Zespołu Consonans 1970-2015. W obrazach i wspomnieniach*”. Pod red. L. Mordarskiego.

⁴ *Okruchy pamięci*. cz. I w 2008 r., cz. II w 2010 r. i Suplement w 2012 r. Miejska Biblioteka Publiczna. Limanowa.

⁵ Wojtas-Ciborska E. (2006): *Księga limanowian. Biografie ludzi związanych z Ziemią Limanowską*. Część I. Limanowa.

⁶ Nawiązanie do tytułu książki Jolanty Bugajskiej pt. „*Ludzie stąd*”, która ukazała się w Limanowej w 2012 roku.

Linia kolejowa nadal żyje



Karol Wojtas

Linia kolejowa nr 104 Chabówka – Nowy Sącz w ostatnim roku odżyła, co mieszkańcy Limanowej i Ziemi Limanowskiej mogli zobaczyć na własne oczy. Wielu z nich mogło całymi rodzinami znów przejechać się zabytkowym pociągiem, ale już niewiele osób zdaje sobie sprawę, że mogło być jednak inaczej i 132 letnia linia kolejowa, która miała tak wielkie znaczenie dla rozwoju i historii regionu mogła być całkowicie zlikwidowana. Jeszcze ponad rok temu sytuacja była dramatyczna, linii kolejowej nr 104 groziła likwidacja i mimo wysiłku wielu ludzi i organizacji włożonych w jej ratowanie mogło się nie udać jej utrzymanie. We wrześniu 2015 roku media regionalne i ogólnopolskie donosiły o wstrzymaniu ruchu planowych pociągów retro na tej trasie z powodu złego stanu technicznego torów i braku pieniędzy na utrzymanie infrastruktury. Zarządca linii 104 czyli PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. oświadczył, że jeśli nie znajdą się szybko pieniądze to linia zostanie zlikwidowana. Mimo planowanych na jesień przejazdów pociągów retro i niedowierzaniu miłośników kolei zarządca zamknął trasę z Chabówki do Nowego Sącza ze względów bezpieczeństwa. Wywołało to burzę w mediach oraz w środowisku miłośników kolei i wzajemne oskarżenia się niektórych polityków.

Jednak na przełomie roku 2015/2016 pojawiła się nadzieja, że tą ponad 132 letnią linią kolejową uda się uratować i znajdą się wreszcie pieniądze na jej remont. 20 stycznia 2016 roku media obiegała pozytywna wiadomość, że znalazły się pieniądze w kwocie ponad miliona złotych na remont odcinka Chabówka – Nowy Sącz. PKP PLK oznajmiło, że dzięki oszczędnościom znalazło w swym budżecie pieniądze i niezwłocznie przystępuje do prac remontowych.

Od lutego 2016 r. ruszyły prace remontowe na całej linii Chabówka – Nowy Sącz.

Jeszcze przy zimowej aurze, choć często przypominającej już wiosenną, w lutym i marcu rozpoczęto wymianę zużytych podkładów kolejowych, naprawę przejazdów przez drogi publiczne, wymianę urządzeń sygnalizacyjnych na przejazdach oraz wycinkę drzew i krzewów przy torach. Od wiosny przez cały okres letni mieszkańcy Limanowej i okolic mogli zaobserwować na własne oczy ekipy remontowe na torach oraz często usłyszeć i zobaczyć przejeżdżające drezyny i maszyny torowe.

Mimo że prace cały czas trwały, już na początku maja na linii Chabówka – Nowy Sącz pojawiły się znów parowozy i zabytkowe wagony. Dzięki zaangażowaniu członków Nowosądeckiego Stowarzyszenia Miłośników Kolei i wsparciu finansowemu Urzędu Marszałkowskiego Województwa Małopolskiego od początku maja ruszył projekt „Małopolskie Szlaki Turystyki Kolejowej”. Była to już jego druga edycja. Warto przybliżyć czytelnikom „Echa Limanowskiego” ideę i założenia tego projektu, dzięki któremu na naszej linii kolejowej jak i na innych w Małopolsce można było przejechać się pociągiem retro czy zobaczyć w Limanowej dymiący parowóz i usłyszeć odgłos jego pracy.

„Małopolskie Szlaki Turystyki Kolejowej” to projekt realizowany przez Nowosądeckie Stowarzyszenie Miłośników Kolei wraz ze Skansenem Taboru Kolejowego w Chabówce przy wsparciu finansowym Województwa Małopolskiego. Na różne trasy kolejowe w Małopolsce w roku 2016 wyjechało 28 pociągów retro. Były to trasy: Nowy Sącz – Biecz, Nowy Sącz – Krynica, Chabówka – Nowy Sącz, Kraków – Tarnów, Kraków – Wieliczka, Kraków – Wadowice, Chabówka – Żywiec, Chabówka – Zakopane. Projekt ten miał na celu promocję atrakcji turystycznych oraz

dziedzictwa i historii kolei w Małopolsce w tym też na terenie powiatu limanowskiego. Za każdym razem gdy na jakąś trasę kolejową na terenie naszego województwa wyruszał ogólnodostępny pociąg retro, cieszył się dużym zainteresowaniem. Bilety bardzo szybko się rozchodziły, a na trasach oczekiwały go tłumy ludzi w różnym wieku, aby móc zobaczyć pociąg pod parą i zrobić sobie z nim zdjęcie.

Przez Limanową pierwszy skład retro przejechał już 3 maja 2016 r. nad ranem. Jechał do Nowego Sącza, aby już później wyjechać w drogę do Biecza i z powrotem. Kolejny skład przejechał przez nasze miasto 28 maja, jechał także do Nowego Sącza, aby później wyjechać do Krynicy.

W niedzielę 29 maja 2016 r. na trasie z Nowego Sącza do Chabówki przejechał kolejny ogólnodostępny pociąg retro pod nazwą „Kolej na Majówkę”. Skład prowadził parowóz Ty42-107, zaś wagony serii Bi oraz BCi pochodziły z lat 20. i 30. XX wieku. Pociąg zatrzymał się na dłuższe postoje z różnymi atrakcjami między innymi na stacjach w Męcinie, Limanowej, Dobrej, Kasinie Wielkiej i Mszanie Dolnej. Szkoda, że władze naszego miasta nie chciały wtedy promować Limanowej wśród gości podczas postoju pociągu na stacji, jak to robiły inne samorządy. Pociągami wraz z podróżnymi jechały kapela regionalna i grupy rekonstrukcyjne z regionu w mundurach z okresu I i II wojny światowej.

W czerwcu nastąpiła chwilowa przerwa w kursowaniu pociągów przez Limanową, gdyż w Podłopieniu podjęto budowę nowego wiaduktu nad przejściem dla pieszych i składy retro kursowały tylko do



Dobrej. Podczas budowy tego nowego przejścia przez tory musiano przekopać nasyp zbudowany w latach 1882 – 1884. Jak się okazało nasyp ten jest w bardzo dobrym stanie i budujący nowe przejście mieli okazję podziwiać kunszt budowniczych Kolei Transwersalnej.

Po przywróceniu przejezdności tego odcinka we wszystkie lipcowe niedziele turyści i miłośnicy kolei mogli udać się w letnią podróż pociągiem osobowym z lat 60. i 70. XX wieku na trasie Nowy Sącz – Chabówka – Nowy Sącz. Pociągi te prowadziła lokomotywa spalinowa SP42 – 260 z 1978 roku, eksponat ze Skansenu w Chabówce, zaś wagony osobowe serii Bhixt pochodziły z lat 60. XX w.

W okresie wakacji oprócz wyżej opisanych pociągów Skansen Taboru Kolejowego uruchomił weekendowe wakacyjne pociągi retro na trasie Chabówka

– Kasina Wielka – Chabówka. Podczas lipcowych przejazdów podróżującym koleją na linii 104 przytrafiła się dawno nie widziana tu atrakcja, czyli mijanie się dwóch pociągów na stacji w Mszanie Dolnej. We wrześniu znów dwukrotnie w drodze do Nowego Sącza przejechały składy retro.

17 października 2016 r. trasę z Nowego Sącza do Chabówki przemierzył pociąg retro, którym podróżowali uczniowie szkół podstawowych i gimnazjów. Skład ten prowadził parowóz Ty42-107 z 1946 roku, wagony serii Bi oraz BCi pochodziły z lat 20 i 30 XX wieku. Uczniom oprócz nauczycieli w podróży towarzyszyli przewodnicy PTTK, którzy opowiadali o regionie. Nie zabrakło także rekonstruktorów w mundurach polskich z okresu II RP oraz polskich i niemieckich z okresu II wojny światowej. ▶



► 11 listopada 2016 r. w Święto Niepodległości mieszkańcy naszego regionu i turyści mogli kolejny raz przejechać pociągiem trasę z Nowego Sącza do Chabówki. Tym razem był to „Pociąg do Niepodległości”. Podróżowali nim wraz z turystami rekonstruktorzy w polskich mundurach z okresu I oraz II wojny światowej. Skład ten prowadził polski parowóz OKz32-2 z 1934 roku. W składzie oprócz wagonów osobowych znajdował się także wagon towarowy, w którym członkowie grup rekonstrukcyjnych prezentowali sprzęt wojskowy z okresu II wojny światowej. Cały skład był udekorowany barwami narodowymi. Była to oryginalna propozycja spędzenia rodzinnie Święta Niepodległości.

Ale nie tylko pociągi retro kursowały po naszej linii kolejowej 104. W ostatnim okresie czasu można było zaobserwować też zwiększony ruch pociągów towarowych i torowych (związanych z pracami remontowymi na linii). Były takie dni jak np. 18 listopada, gdy ruch kolejowy na stacji w Limanowej był duży jak w latach 80. XX wieku. W tym dniu przez Limanową przejechało kilka pociągów towarowych i specjalnych, ale to już była gratka dla miłośników kolei i trainspotterów (ludzi fotografujących pociągi).

O znaczeniu Kolei Transwersalnej dla Limanowej i całego regionu jak i o jej historii pisał wielokrotnie na łamach Echa Limanowskiego Zbigniew Sułkowski, więc nie będę tego robił. Na zakończenie przypomnę tylko czytelnikom Echa Limanowskiego kilka istotnych szczegółów.

W latach 1882 – 1885 austriackie Cesarsko – Królewskie Koleje Państwowe (k.k.StB) zbudowały w bardzo szybkim czasie nową linię kolejową biegnącą przez Karpaty nazywaną Galicyjską Koleją Transwersalną. Liczyła ona ponad 550 km i biegła od Czadcy przez Zwardoń, Żywiec, Suchą Beskidzką, Nowy Sącz, Zagórz, Sambor, Stanisławów do Husiatynia. Choć powstała ze względów militarnych, to przyczyniała się do rozwoju gospodarczego terenów, przez które biegła. Jej fragmentem jest licząca 77 km linia kolejowa Chabówka – Nowy Sącz otwarta 132 lata temu 16 grudnia 1884 roku. Linia kolejowa Chabówka – Nowy Sącz w znacznej swej części biegnie przez powiat limanowski, stanowiąc jego ważną oś komunikacyjną. To dzięki Kolei Transwersalnej miejscowości powiatu limanowskiego na przełomie XIX i XX wieku szybko się rozwinęły gospodarczo



i urbanistycznie. Powstały i rozwinęły się nowe zakłady przemysłowe, a mieszkańcy ziemi limanowskiej zyskali szybkie i wygodne połączenie ze światem. To między innymi właśnie dzięki linii kolejowej w limanowskich Sowlinach powstała rafineria. Wielu mieszkańców Limanowej i okolicznych miejscowości było kolejarzami, byli między innymi maszynistami, konduktorami, zawiadowcami stacji, dróżnikami, ale też wielu z nich pracowało w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego w Nowym Sączu.

Przez lata mieszkańcy Ziemi Limanowskiej żyli rytmem wyznaczanym przez kolej. Pociągi kursujące regularnie bez opóźnień wyznaczały rytm

dnia, a nie mając przy sobie zegarka można było być pewnym, że gwizd parowozu oznacza daną godzinę. Warto aby to dziedzictwo regionu zostało zachowane i stało się naprawdę atrakcją turystyczną powiatu i miasta. Pisząc ten artykuł w listopadzie 2016 roku w kilka dni po 100. rocznicy śmierci cesarza Franciszka Józefa I, który zdecydował o budowie Kolei Transwersalnej mam nadzieję, że w przyszłym roku 2017 pociągi retro będą nadal kursowały, a widok pociągu prowadzonego parowozem w Limanowej nie będzie tylko czymś wyjątkowym dla mieszkańców.

Fotografie: Michał Wojtas



Widok od strony potoku Mordarka. W głębi pomiędzy budynkiem starostwa (z prawej), a białym budynkiem z attyką charakterystycznym półkolistym zwieńczeniem, widoczny zagajnik. W tym miejscu wybudowano kino „Sojusz”. Pośrodku drogi do Mordarki i „Targowicy” widoczny pomnik „Nieznanego Żołnierza”. Z prawej parterowy drewniany budynek „Sokoła”, poniżej „dołek” z boiskiem i tereny, na których powstały bulwary wzdłuż potoku (z prawej) i tzw. „kocie plany” z lewej, usypane z ziemi pochodzącej z wykopów przy budowie kina.

O limanowskim kinie „Sojusz” raz jeszcze

Tomasz Jan Biedroń

Kiedy przed parunastu laty opracowywaliśmy Monografię Miasta Limanowa (lata 1945-1989), wówczas nie podjęliśmy tematu kina „Sojusz” z powodu śladowej ilości materiałów, do jakich udało nam się wtedy dotrzeć. Temat ten po parunastu latach powrócił podjęty przez Jerzego Bogacza na łamach „Almanachu Ziemi Limanowskiej” w numerze 40/41 z wiosny 2010 roku, w obszernym artykule pt. „Pożegnanie kina „Sojusz”, opatrzonym licznymi przypisami i relacjami ludzi, wzbogacającymi tekst o nowe nieznane dotąd fakty. Z kolei w ostatnim numerze „Echa Limanowskiego” (266/267) z 2016 roku Zbigniew Sułkowski w artykule wspomnieniowym zatytułowanym: „O limanowskich kinach-tak bardziej przyczynkowo” na stronach 40-43 opisał dzieje limanowskiej kinematografii, sporo miejsca poświęcając kinu „Sojusz”. W związku z pozyskaniem nowych dokumentów w trakcie kwerend archiwalnych na temat kina „Sojusz”, postanowiłem podzielić się z czytelnikami nowymi faktami, rzucającymi nowe światło na kulisy budowy i działalności kina „Sojusz”.

Zacznijmy najpierw od samej nazwy kina „Sojusz”, którą to nazwę nosiło kino funkcjonujące w budynku „Sokoła”, a którą przejął następnie nowo wybudowany kinoteatr. Kiedy w październiku 1947 roku budynek „Sokoła” opuścił Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, to wymagał szybkiego remontu po dewastacji dokonanej przez stacjonujący w nim oddział wojska. Dokonano pobieżnego remontu, tak że już w listopadzie tr. zaczął przyjeżdżać „Film Polski”, rozpoczynając w „Sokole” wyświetlanie raz w tygodniu dwóch seansów. Przymuszalnie nazwę „Sojusz” przyjęto w momencie, gdy w budynku kino zagościło na stałe.



► W przeciągu następnych lat eksploatacji stan techniczny budynku „Sokoła” pogarszał się, wyposażenie, ilość miejsc i powiększająca się ciągle liczba mieszkańców spowodowały, że budynek, w którym znajdowało lokum kino „Sojusz”, zagrażał bezpieczeństwu widzów i po prostu przestał już wystarczać. Stan ten najlepiej charakteryzuje Komisja Kwalifikacyjna Rady Narodowej zebrała w Krakowie 14 marca 1958 roku pod przewodnictwem mgr Zofii Preczepeńskiej i niewymienionego z nazwiska przedstawiciela kina „Sojusz” (Michała Zimroza?) w sprawie przeprowadzenia kategoryzacji kin oraz podziału widowni. Oto co Komisja zanotowała na temat kina „Sojusz”: *„Dwa kompletne projektory 16 mm, jeden głośnik. Kino nie posiada wydzielonej kabiny. Regulacja głosu pracy przy projektorach. Sala projekcyjna bez wentylacji. Miejsca siedzące-krzesła w ilości 167 sztuk. Ogrzewanie-pieca kaflowe. Barak drewniany wolno stojący, dość zniszczony o nieestetycznym wyglądzie. Pomieszczenie kina to sala projekcyjna (teatralna) i korytarz służący jako hol kasowy i poczekalnia. Barak położony centralnie. Miasteczko powiatowe o charakterze rolniczo-przemysłowym – ilość mieszkańców 5000. Pomieszczenia kina z uwagi na ich zniszczenie są nieestetyczne. Po zakończeniu budowy nowego budynku (Dom kultury) kino zostanie do niego przeniesione (budowa na ukończeniu). Kategoria III kin miejskich”*¹.

Z nostalgią wspominam salę „Sokoła”, gdzie odbywały się projekcje filmów, na które my młodzi chłopcy staraliśmy się dostać tylnymi drzwiami podpartymi miotłą. Oczywiście, bez biletów. Raz czy nawet dwa to się udało, ale tylko dzięki Mieczysławowi Pałce, który widząc naszą determinację i nieodpartą chęć obejrzenia filmu, wpuścił nas za darmo. Sporo pracy w funkcjonowanie kina w „Sokole” włożyli jego ówcześni pracownicy: kierownik Michał Zimróz i wspomniany Mieczysław Pałka. Nazwiska operatora niestety, już nie pamiętam. Kino „Sojusz” wyświetlało tygodniowo 2 filmy po dwa seanse przy pełnej widowni i wysprzedanych wszystkich biletach. Było wielką atrakcją Limanowej.

Inicjatywa budowy nowego kinoteatru wyszła ze środowiska teatrów amatorskich działających na terenie miasta Limanowa liczących na korzystanie z sali w przyszłym kinoteatrze. Jednym z nich był niewątpliwie Antoni Pikiewicz², który jeżeli nie inicjował, to być może przewodził



Ulica Stodólna, Ku Mordarce, Waleriana Zubrzyckiego, Marszałka Piłsudskiego, Ignacego Daszyńskiego, Józefa Stalina, Władysława Orkana, a dziś Matki Boskiej Bolesnej - to bogata historia ulicy, przy której w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia wybudowano kino „Sojusz” naprzeciw budynku „Sokoła” oraz pomnik Nieznanego Żołnierza. Fotografie z okresu budowy kina.



powołanemu w 1952 roku Komitetowi Budowy Kinoteatru w Limanowej powstałemu pod egidą Powiatowego Komitetu Frontu Narodowego w Limanowej przy akceptacji i wsparciu: partii politycznych, Miejskiej Rady Narodowej, WRN w Krakowie, ORZZ i innych nie wymienionych instytucji. W skład Komitetu wchodził członkowie Prezydium PRN, KP PZPR i organizacji społecznych. W imieniu wspomnianego Komitetu Budowy Kinoteatru występowali w pismach do władz członkowie prezydium: Jerzy Kwieciński, Antoni Bieda, Teodor Smolawa³. W czerwcu (8.) 1953 roku na III Plenum PK FJN w Limanowej wiceprzewodniczący, wspomniany Antoni Pikiewicz, w wygłoszonej referacji stwierdził, że Prezydium MRN nie doceniało znaczenia mającej powstać placówki

kulturalno-oświatowej, ponieważ do tej pory (8 VI 1953) nie uporało się z lokatarami zajmującymi prawem kaduka budynek znajdujący się na działce przeznaczonej na przyszły kinoteatr⁴.

Zabiegi biurokratyczne i przygotowanie działki pod budowę kinoteatru trwały do 1954 roku. W sierpniu tr. w imieniu Prezydium PRN, jego sekretarz Józef Stachera przekazał Komitetowi Budowy Kinoteatru bezpłatnie działkę (około 16 arów) pod przyszły kinoteatr. Projekt wstępny kinoteatru opracował mgr inż. Otton Fedak „uprawniony architekt rządowy” z Myślenic, który został pozytywnie zaopiniowany i zatwierdzony, podobnie jak wniosek inwestycyjny przez Komisję Oceny Projektów Inwestycyjnych przy Centralnym Urzędzie Kinematografii w Warszawie w lipcu 1954 roku. Projekt

ten przewidywał salę widowiskową na 368 widzów i scenkę teatralną z garderobami. W kilka dni później wniosek inwestycji-kosztorys został również zatwierdzony przez Centralny Urząd Kinematografii Departament Planowania w Warszawie. Pozostała kwestia finansowania kinoteatru. Komitet Budowy Kinoteatru w Limanowej przeprowadził wśród społeczeństwa powiatu limanowskiego dobrowolne opodatkowanie się (1% od poborów), gromadząc na koncie budowy około 60 tys. zł. Ponadto wypuszczono znaczki wartościowe na kwotę 519 000 zł do rozprowadzenia oraz egzekwowany w placówkach handlowych PZGS i PSS „Jedność” w powiecie podatek na rzecz kinoteatru od zakupionego alkoholu. W 1954 roku kwotę 100 tys. przekazał na konto budowy Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy, w 1955 roku 630 tys. zł nie wymienione instytucje, zaś w 1956 roku 1 020 000 zł skarb państwa. Ogółem koszt budowy kinoteatru oszacowano na 1 745 000 zł, a termin ukończenia ustalono na 22 lipca 1956⁵.

Pierwsze prace związane z budową kinoteatru zostały zapoczątkowane z rocznym opóźnieniem i związane były z zagospodarowaniem terenu, przygotowaniem placu budowy dzięki czemu w maju 1955 roku mogły się rozpocząć roboty ziemne⁶. Budowa trwała prawie cztery lata, a projekt architekta Ottona Fedaka ulegał w jej trakcie licznym modyfikacjom. W marcu 1959 roku budynek kinoteatru był ukończony, a więc dopiero w 3 lata po planowanym terminie i teoretycznie wykończony, jednak zaistniały trudności obiektywne z oddaniem go do użytku. Zarówno Prezydium Powiatowej jak i Miejskiej Rady Narodowej w Limanowej interweniowały w Wojewódzkim Zarządzie Kin w Krakowie o szybsze oddanie do użytku kinoteatru, ale bezskutecznie, bowiem wypłynęła sprawa podłączenia do sieci. Okazało się bowiem, że konieczna była budowa nowego transformatora i przeciągnięcia kabla na odcinku 800 metrów, co wygenerowało dodatkowe koszty szacowane na około 300 tys. zł. Była to sprawa dla miasta pilna, ponieważ uruchomienie widowni na 430 miejsc zapewniłoby przyjazd do Limanowej lepszych zespołów estradowych, aparaturę projekcyjną szerokotaśmową, co z kolei przyczyniłoby się do zwiększenia atrakcyjności placówki wśród potencjalnych widzów. Poza tym w kosztorysie inwestycji nie

uwzględniono wyposażenia kabiny projekcyjnej, sceny i innych urządzeń dla zespołu kinowego⁷.

Ostatecznie po przewyciężeniu licznych trudności z 3-letnim opóźnieniem w dniu 21 lipca 1959 roku odbyło się oficjalne otwarcie kinoteatru „Sojusz”, zainaugurowane uroczystą sesją PRN i MRN w Limanowej. Na część oficjalną złożył się referat okolicznościowy poświęcony XV leciu PRL wygłoszony przez Przewodniczącego Prezydium PRN w Limanowej Zbigniewa Macurę. Po przemówieniu zasłużeni obywatele powiatu limanowskiego, którym Rada Państwa przyznała odznaczenia państwowe zostali udekorowani przez wiceprzewodniczącego WRN w Krakowie Skolnickiego. W sumie odznaczono 30 osób złotymi i srebrnymi krzyżami zasługi oraz krzyżami partyzanckimi. W części artystycznej wystąpił zespół estradowy z Krakowa

spowodowało, że nie ukazał się w prasie ani jeden artykuł związany z tymi uroczystościami, które dla Limanowej „można by nazwać epokowymi”⁸.

Odbiór techniczny kinoteatru „Sojusz” odbył się dopiero dwa dni po oficjalnym „politycznym” otwarciu 24 lipca. Podsekretarz stanu Ministerstwa Kultury i Sztuki Tadeusz Zaorski piśmem z 10 lipca 1959 roku powołał komisję celem „oddania do użytku inwestycji Budowa Kinoteatru w Limanowej” w składzie: przewodniczący inż. arch. Jan Łach – Naczelnik Wydziału Inwestycji w Naczelnym Zarządzie Kin, członkowie: kpt. pożarnictwa Jan Ponomarew rzeczoznawca ds. pożarnictwa w NZK, inż. Michał Bogdanow z-ca dyrektora ds. technicznych Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Kin w Krakowie. Techniczny Inspektor Pracy ZG Związku Zawodowego Pracowników Filmowych w Warszawie Tadeusz



Kino „Sojusz”, widok od strony potoku Mordarka. Z lewej tzw. „kocie planty”, które usypano z ziemi z wykopów pod budynek kina.

oraz wyświetlono film dla uczestników sesji. W uroczystej sesji udział wzięło około 500 zaproszonych osób. W kulturalach nowo otwartego kinoteatru została zorganizowana wystawa obrazów artysty malarza Tadeusza Ociepki, który również zaprojektował dwie latarnie usadowione przez wejściem do kina. W ocenie przebiegu święta 22 lipca połączonego z otwarciem kinoteatru dokonanej przez Sekretarza Propagandy KP PZPR w Limanowej Ryszarda Piotrowskiego na posiedzeniu Egzekutywy KP PZPR w Limanowej 29 lipca 1959 roku zwrócił on uwagę na brak udziału zaproszonych przedstawicieli zarówno KW PZPR w Krakowie jak i prasy: „Gazety Krakowskiej” i „Dziennika Polskiego”, co

Bagłajewski w czasie kontroli zauważył wiele usterek, niedociągnięć i wręcz braków wymagających natychmiastowej naprawy, z których najważniejszymi były: likwidacja prowizorki elektrycznej, odgrzybianie pomieszczeń garderoby, kotłowni, magazynu, zainstalowanie świateł bezpieczeństwa na widowni, wentylacji mechanicznej w kabinie projekcyjnej, wykończenie urządzeń scenicznych. O dziwo w Protokole odbioru technicznego figuruje Michał Zimróż, jako kierownik kina „Sojusz”, w którym pracowało wówczas 5 osób, w tym 3 pracowników fizycznych (1 kobieta) i 2 umysłowych. W sierpniu 1962 roku Komisja Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Kin w Krakowie powołała technicznego inspektora pracy

► Aleksandra Kupca w celu zbadania realizacji zaleceń pokontrolnych w kinie „Sojusz”, który w protokole jednoznacznie stwierdził, że nakaz naprawy usterek z lipca 1959 roku nie został wykonany w wielu punktach, zaś dyrektor, który miał to nadzorować w 1961 odszedł z pracy. Komisja dostrzegła kolejne usterki: przeciek dachu, zagrzybioną akumulatorkę, zacieki na ścianach itp. Dopiero rok później większość usterek usunięto o czym informował kierownik kina Konstanty Bogacz⁹.

Na jednym z posiedzeń MRN w Limanowej parę lat po otwarciu kinoteatru „Sojusz” radny Jan Czczótko krytycznie wypowiedział się na temat funkcjonowania nowo otwartego kinoteatru, który jego zdaniem nie spełniał zadań stawianych placówce jeszcze przed rozpoczęciem budowy. Podkreślał, że pierwotnie zakładano, iż budynek ten

od pracy, w poniedziałki salę widowiskową wykorzystywano na organizowanie różnych imprez estradowych i wystawianie sztuk teatralnych dla publiczności Limanowej. Kino otrzymywało filmy do wyświetlania z kina „Tatry” w Nowym Targu, a następnie przysyłało do Centrali Wynajmu Filmów. Projekcja atrakcyjnego filmu stawała się wydarzeniem o lokalnym znaczeniu, gromadząc tłumy widzów. Wyświetlano filmy o wysokich walorach ideowo-artystycznych ściągające do kina licznych mieszkańców miasta i okolicznych miejscowości. Na takie filmy, jak: *Krzyżacy*, *Faraon*, *Wojna i pokój* zakłady pracy wykupywały całe seanse. Najwięcej widzów notowano na filmach lekkich, rozrywkowych, głównie westernach bijących rekordy popularności wystarczy wspomnieć: *Dylizans*, *Rio Bravo*, *3.10 do Yumy*, *Siedmiu wspaniałych*, *Biały kanion*, *W samo południe*, *Pojedynek w słońcu*, *Winetou* itp.



Kino „Sojusz” widok od strony Mordarki. Przed budynkiem stylowe latarnie projektu Tadeusza Ociepki.

będzie przeznaczony nie tylko na kino, ale i dla występów teatralnych, estradowych oraz jako pomieszczenie dla klubu artystyczno-rozrywkowego. Obecnie – stwierdził – w kinoteatrze wyświetla się jedynie filmy, zaś pomieszczenia znajdujące się w dolnej kondygnacji nie są wykorzystane. Jeszcze raz okazało się jak plany rozminęły się z rzeczywistością¹⁰.

Lata 60-te były dla limanowskiego kinoteatru okresem najlepszej prosperity, ludzie wypełniali sale widowiskową do ostatniego miejsca, a kino przynosiło nieźle dochody. W kinie wyświetlano filmy na dwóch seansach dziennie we wszystkie dni tygodnia oprócz poniedziałku, natomiast w niedzielę do południa wyświetlano poranek dla młodzieży. W dni wolne

Z nieukrywanym wzruszeniem wspominam tamte czasy świetności kina „Sojusz”, w latach 60-tych, co minęły, gdy udało się uzyskać od rodzica pieniądze na bilet do kina. Kiedy na początku lat 60-tych następowały dla nas dni chude z powodu braku pieniędzy, grając w piłkę z kolegami pod „Sokołem”, czekaliśmy, aż może nastąpi awaria i odetną prąd w kinie. Wówczas Kazimierz Mąka otwierał drzwi wyjściowe i zniecierpliwieni widzowie wychodzili. My korzystając z okazji, wślizgiwaliśmy się na salę czekając na dokończenie filmu. Pamiętam, że jednym z filmów, na który udało nam się w ten sposób wejść, był film pt. *O dwóch takich co ukradli księżyc*, który pamiętam do dziś. Komentarze

i wymiana opinii na temat obejrzanego filmu rozpoczynały się na skwerku pod kinem lub na ławeczkach na wysokim nasypie nad potokiem Mordarka. Pamiętam, jak jeden z moich rówieśników wyciągając z kieszeni papierosy mówił: „niech się dzieje wola Boska zapalimy papieroska”, po czym wyrażał swój pogląd na obejrzany film. Pamiętam też, jak inny z kolegów z nutą goryczy i żalu w głosie, paląc Sporta głośno marzył: złoty 50, złoty 50 na Sporty, gdybym miał więcej kupiłbym sobie Giewonty. Poziom dyskusji był różny. Były też i wypowiedzi skrajnie negatywne. Jeden z kolegów zwolennik kina akcji i zgiełku bitewnego zaraz po wyjściu z kina skomentował obejrzany film w następującej wypowiedzi: film beznadziejny, cały czas jechali na wozie przez cmentarz i ani jednego strzału. Takie to były czasy.

Dla uczczenia 1000-lecia państwa polskiego w 1966 roku oraz święta 1 maja pracownicy kina „Sojusz” „podjęli cenne zobowiązanie” wartości 13500 zł, na które składały się wyświetlane dodatkowe seanse filmowe. Warto wspomnieć ludzi kina z tamtych lat: Konstantego Bogacza pełniącego funkcję kierownika od powstania kina, aż do jego likwidacji, Kazimierza Mąkę z jego słynnym powiedzonkiem „bielecek proszę”, jego żonę Janinę Mąkową, Antoniego Matrasa, operatora I kategorii Władysława Skalskiego dojeżdżającego z Nowego Sącza, jego pomocników Kazimierza Biernata i Leszka Kawulę. Szczególną postacią kina był wspomniany Kazimierz Mąka, który przyłapanych młodzieńców próbujących wejść do kina na film dla nich niedozwolony łapał za ucho i wykręcając je wprowadzał delikwentów.

W opracowanym przez MRN w Limanowej w 1967 roku planie dla kina „Sojusz” przewidywano zysk opiewający na około 600 tys. zł, zaś liczbę widzów szacowano na 100 tysięcy, planowanych seansów na 720. Plan kosztów funkcjonowania kina wzrosnąć miał do 570 tys.¹¹. Przy kinoteatrze „Sojusz” zlokalizowano też kino ruchome obsługujące miejscowości powiatu limanowskiego.

Dobra passa kina „Sojusz” zaczęła się powoli kończyć już pod sam koniec lat 60-tych. Wtedy zanotowano pierwszy raz spadek ilości widzów w kinie, chociaż notowano nadal masowy udział widzów na wyświetlanych seansach. W 1969 roku sprzedano 89 374 biletów, a w 1970 – 89 900. Kino pracowało pełną parą.

Wyświetlano odatkowe filmy w godzinach porannych dla szkół, kierownictwo kina proponowało udostępnienie widowni dla imprez estradowych (występy zespołów) i teatralnych, gdyby zakłady pracy kupowały zbiorowe bilety. Wszystko po to, aby utrzymać opłacalność kina. Widzów teatralnych w 1970 roku notowano 6120. Powolny spadek widzów w kinoteatrze spowodowany był rosnącą liczbą telewizorów wśród mieszkańców miasta. O ile w 1969 roku zanotowano ich 702, o tyle w roku następnym już 821. Obliczono, że obywatele miasta posiadali 1311 radioodbiorników i 807 głośników¹². Powyższe obliczenia oparto na zarejestrowanych telewizorach i radioodbiornikach, których właściciele opłacali abonament. W rzeczywistości mogło być ich o wiele więcej, bowiem nie wszyscy rejestrowali telewizory i radioodbiorniki.

Wydawało się, że dobra passa kina trwać będzie nadal. W 1973 roku sprzedano 86 600 biletów, co w porównaniu do roku 1971 dawało wzrost o 34 tysiące. Ażeby uatrakcyjnić repertuar i spełnić gusta wymagającego widza kierownictwo kina „Sojusz” wspólnie z Zarządem Powiatowym ZMS zaczęło sprowadzać dwa razy w miesiącu filmy dyskusyjne przeznaczone szczególnie dla starszej młodzieży. Niekiedy grano po 2-3 seanse dziennie. W 1977 roku kabinę projekcyjną wyposażono w dwa aparaty projekcyjne z lampami ksenonowymi. Obsadę kabiny stanowili: dwóch operatorów z uprawnieniami I kategorii oraz jeden pomocnik bez uprawnień. Dla zaspokojenia potrzeb kulturalnych środowiska zaczęto sprowadzać zespoły oraz teatry. Do najciekawszych imprez zaliczyć należy grane w poniedziałki spektakle Teatru Ziemi Tarnowskiej. Zaczęto przyciągać publiczność poprzez organizowanie ciekawych imprez. W tym celu nawiązano kontakty z Nowym Sączem, Bochnią, Nowym Targiem, dokonując wymiany artystycznej i kulturalnej. Salę widowiskową udostępniano festiwalom folklorystycznym, kapelom ludowym, konkursom gawędziarzy i instrumentalistom ludowym, orkiestrom dętym, karnawałowi góralskiemu¹³.

Lata 80-te w dziejach kina „Sojusz” zaznaczyły się powolnym a nawet drastycznym spadkiem widzów, co wynikało z utraty przez kino jedynej i wyłącznej instytucji dającej możliwość kontaktu ze światowym kinem i trendami w nim panującymi. Rozpoczął się okres powolnej

agonii kina, do czego przyczyniły się: wzrastająca liczba telewizorów zwłaszcza kolorowych, wejście do obiegu kaset video i wideoodtwarzaczy oraz funkcjonowanie konkurencyjnego kina „Klasp”. Do tego doszły po 1989 roku: telewizja satelitarna i rachunek ekonomiczny, okazało się jak bardzo kosztowne jest utrzymanie samego budynku kina wraz z kilkoma kondygnacjami pod ziemią. Śmierć kina nastąpiła w 1992 roku, kiedy Estrada Krakowska sprzedała budynek kina prywatnemu właścicielowi.

Kiedy dzisiaj dwadzieścia parę lat po zniknięciu kina „Sojusz” z panoramy miasta mówimy o jego legendzie, to przede wszystkim mamy na myśli pierwsze paręnaście lat jego działalności. To wtedy stało się ono zjawiskowe, będąc jedynym miejscem kontaktu widza z szeroko rozumianą kulturą (obok Biblioteki Publicznej i działających szkół) na pustkowiu kulturalnym jakim była wówczas Limanowa. Ta wyjątkowość kina „Sojusz” spowodowała, że po latach zaczęto mówić i pisać o jego legendzie. A z legendami nawet gdyby się miało inne zdanie nie walczy się, w legendy się wierzy.

Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci”

¹ Protokół z posiedzenia Komisji Kwalifikacyjnej zwołanej przez Prezydium PRN w Krakowie z dnia 14 III 1958 roku w sprawie zasad przeprowadzenia kategoryzacji kin i podziału widowni, PWRNKr K1 1, Archiwum Narodowe w Krakowie (dalej ANKr).

² W dniu 15 marca 1948 roku Antoni Pikiwicz zwołał zebranie w budynku Starostwa Powiatowego w Limanowej, na którym przedstawiono propozycję powołania Komitetu Budowy Domu Społecznego w Limanowej. Architekt powiatowy inż. Mieczysław Kastner podczas dyskusji przedstawił plany przyszłego budynku, w którym na parterze przewidywano salę na 500 osób, scenę, 2 garderoby dla publiczności, 2 kasy, hol, 2 ubikacje w tym jedna dla biblioteki, jedna dla czytelników, bufet, ubikacje dla widzów. Nie ulega wątpliwości, że sala widowiskowa miała być również salą wykorzystywaną przez kino. Niestety, inicjatywa pozostała na papierze, jak i cały komitet powołany do budowy. Skoro nie udało się z budową Domu Społecznego, to po paru latach utworzono Komitet Budowy Kinoteatru, zob. Protokół z zebrania organizacyjnego Komitetu Budowy Domu Społecznego w Limanowej odbytego w dniu 15 III 1948 r. w lokalu referatu wojskowego Starostwa Powiatowego, Akta KP PPR w Limanowej, ANKr, s.29.

³ Przekazanie parceli gruntowej na budowę kina dokonane przez sekretarza Prezydium PRN w Limanowej

15 VIII 1954 roku, SFOSKW-78, ANKr.

⁴ Referat na III Plenum PK FJN w Limanowej w dniu 8 VI 1953 roku, FJNKr 30, ANKr, s.21.

⁵ Wniosek o uchwalenie kredytu inwestycyjnego na rok 1954, SFOSKW-78, ANKr. Wszystkie pisma do władz i instytucji w imieniu Komitetu Budowy Kinoteatru były sygnowane przez Powiatowy Komitet SFBS w Limanowej i podpisywane przez przewodniczącego mgr Tadeusza Horodyńskiego oraz sekretarza M. Mordawskiego.

⁶ Informacja o pracy Komitetu Frontu Narodowego w Limanowej 27 V 1955 roku, FJNKr 130, ANKr, s.,41. Planowana kubatura budynku wynosiła 5410 m², budynek zaplanowano na 368 osób, powierzchnia użytkowa 988,4 m², budynek piętrowy 3-4 kondygnacje, podpiwniczony. Dokumentację techniczną opracowali: mgr inż. arch. Otton Fedak wraz z zespołem w Krakowie.

⁷ Informacja na temat pracy i warunków placówek kulturalno-oświatowych oraz o sporcie i turystyce, złożona na sesji MRN w Limanowej w dniu 24 III 1959 r., PMRNLimanowa 3, Archiwum Narodowe w Krakowie oddział w Nowym Sączu (dalej ANNS), s.567-569.

⁸ Protokół nr 21 z posiedzenia Egzekutywy KP PZPR w Limanowej odbytej w dniu 29 VII 1959 r.; Ocena KP PZPR w Limanowej o przebiegu obchodów związanych z XV-leciem PRL (22 VII 1959), KP PZPR w Limanowej, 29/2217/74, ANKr.

⁹ Akta Inspektoratu Pracy dotyczące kina w Limanowej, 29/2044/25, ANK Spytkowice. Na komisyjne oddanie kina „Sojusz” kierownictwo Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Kin w Krakowie zaprosiło wszystkie podmioty mające cokolwiek wspólnego z budową kinoteatru, m.in.: Prezydium WRN w Krakowie (Wydział Kultury), PRN w Limanowej (wydział kultury), architektów: miejskiego i powiatowego w Limanowej, Bank Inwestycyjny Oddział w Krakowie, Technicznego Inspektora Pracy ZG Związku Zawodowego Pracowników Filmowych w Warszawie, Przedsiębiorstwo Budownictwa Terenowego w Nowym Sączu, Spółdzielnię Inwalidów w Krakowie, Przedsiębiorstwo Robót Instalacyjnych w Krakowie, Dyrekcję Budowy Osiedli Robotniczych w Krakowie, inż. Wiesława Modrzewskiego z Nowego Sącza.

¹⁰ Protokół 62 z posiedzenia MRN w Limanowej z 28 IX 1962 roku, PMRN Limanowa 4, ANNS. Uchwałą MRN w Limanowej z 28 IX 1962 upoważniono Prezydium MRN do podpisania umowy z Scenotechniką w Krakowie na wykonanie tablicy rozdzielczej i oświetlenie sceny w kinoteatrze.

¹¹ Informacja o sytuacji kulturalno-oświatowej na terenie miasta Limanowa złożona na sesji MRN w Limanowej w dniu 30 XII 1966 r., PMRNL-13, ANNS, s.3-4.

¹² Informacja dotycząca rozwoju życia kulturalno-oświatowego na terenie miasta Limanowa złożona na sesji MRN w Limanowej w dniu 23 XI 1970 roku, PRMNL-60, ANNS, s.4.

¹³ Informacja na temat działalności kulturalno-oświatowej na terenie miasta oraz program działania w tym zakresie na lata 1974-1978 sporządzona dla Naczelnika Miasta w Limanowej, PMRNL-66, AANS, s.7; Akta inspektoratu Pracy dotyczące kina w Limanowej, 29/2044/25, ANK Spytkowice.

Ostatni z rodziny Noga-Mars

W 2017 roku minie 120. rocznica urodzin seniora, Krzysztofa Noga-Marsa, ostatniego w linii męskiej tego rodu. Mój Ojciec, Krzysztof, urodził się 9 grudnia 1897 r. w Sowlinach i był czwartym dzieckiem licznej rodziny Kazimierza i Władysławy z domu Mars pochodzącej z Przyszowej. Miał pięć siostr, kolejno: Janinę, Marię, Zofię, Helenę i Ewę. Ta ostatnia opiekowała się wujem Zygmuntem Marsem do końca jego życia (zmarł w 1945 r. w Limanowej). Ojciec Krzysztofa, Kazimierz, był właścicielem Łososiny Górnej i Sowlin.

Dzieje rodziny Marsów związanych z Limanową, w której żyło i mieszkało wiele kolejnych pokoleń ponad 150 lat, przeszły do historii. Rodzina była liczna i część jej z konieczności, a także z rozsądku udawała się za pracą, studiami poza Limanową. Głównie osiedlali się oni na terenach Galicji Wschodniej w obrębie granic dawnego zaboru austriackiego. Był to okres przypadający na początek XIX wieku do 1945 roku.

Jednakże dworek w Limanowej – Starej Wsi miał zawsze znaczenie „gniazda” rodzinnego, w którym drzwi były stale otwarte nie tylko dla rodziny, ale również dla przyjaciół lub potrzebujących pomocy.

Tutaj odbywały się zjazdy rodzinne, jubileusze, śluby, chrzty. Obchodzono wspólnie święta religijne. Tu odbywały się pogrzeby obejmujące wszystkie pokolenia, gdyż na cmentarzu limanowskim jest kaplica – mauzoleum Marsów. Pokoje posiadłości Marsów były „niemymi” świadkami wielu prowadzonych ważnych rodzinnych narad. Tu podejmowano kluczowe decyzje dla rodu Marsów.

Ten dworek – dom rodzinny, wraz ze wspaniałym ogrodem, przyciągał pięknym położeniem i otoczeniem gór, krystaliczną wodą i czystym powietrzem. Bliskość kompleksów lasów sprawiała, że miał wielki urok i możliwości organizowania polowań na dziką zwierzynę. Zazwyczaj było tu bardzo gwarno. Marsów, podobnie jak ludność miejscową, cechowała pracowitość, wytrwałość i troska o losy Ojczyzny. Dążenie do kształcenia się oraz czynienie wysiłków o poprawę życia wszędzie tam, gdzie tylko się udawało i było to możliwe, szczególnie w czasach zaboru austriackiego, dominowało w poczynaniach.

Tych kilka uwag we wstępie, powrót wspomnieniami do czasów atmosfery rodzinnej, ukazują otoczenie, w jakim wzrastał mój Ojciec, Krzysztof Mars. W takich okolicznościach w dzieciństwie kształtowała się jego osobowość i cechy charakteru.

Dzieciństwo spędził z rodzicami i pięcioma siostrami w dworku w Łososinie Górnej. Istniejące tam gospodarstwo rolne 50 hektarowe oraz serownia umożliwiały całej rodzinie przyzwoity byt materialny.

Na początku XX stulecia dziadek mój, Kazimierz Mars, sprzedał Łososinę Górną wraz z Sowlinami spółce francuskiej poszukującej złóż ropy naftowej w tym rejonie. W części majątku w Sowlinach w 1908 r. została wybudowana rafineria nafty, jedna z największych w Galicji, która umożliwiła cywilizacyjny awans Limanowej. Po sprzedaży limanowskiego majątku, rodzice Ojca kupili sanatorium na przedmieściach Lwowa – Pustomyty

i zamieszkali tam wraz z wszystkimi dziećmi. Dziadek Kazimierz w niedługim czasie po opuszczeniu Łososiny Górnej zaczął ciężko chorować. Był leczony przez najsłynniejszych lekarzy za poradą brata prof. Antoniego Marsa i mimo młodego wieku (47 lat) niedługo zmarł we Lwowie.

Po śmierci dziadka opiekunem Babcia Władysława z sześciorgiem dzieci został właśnie wuj Ojca, prof. Antoni Mars, późniejszy prof. Uniwersytetu w Krakowie, następnie prof. i rektor Uniwersytetu we Lwowie. Jego syn, Grzegorz, był współwłaścicielem majątku w Starej Wsi – Limanowej.

W tej trudnej sytuacji Pustomyty zostały sprzedane, a Babcia Władysława z dziećmi przeniosła się do Krakowa. Siostry ojca kształciły się u SS. Niepokalanek w Nowym Sączu, a Ojciec mój uczęszczał do gimnazjum im. Słowackiego w Krakowie.



Krzysztof Noga-Mars (1897-1974)

Położenie materialne rodziny było bardzo ciężkie z powodu dewaluacji i wysokiej inflacji w tym okresie, tak że Babka musiała korzystać ze wsparcia rodziny. Ojciec mój w ostatniej klasie przed maturą postanowił wstąpić do Legionów Polskich pod dowództwem Józefa Piłsudskiego. Pozostawił do matki list, w którym poinformował o swojej decyzji i ruszył pociągiem za Legionami. W pociągu spotkał wuję, który zawrócił go z tej podróży i przyprowadził go do domu. Jednak z podjętego planu wstąpienia do Legionów Polskich nie zrezygnował. Tym razem już jawnie Babcia Władzia wyekwipowała syna w niezbędniejsze rzeczy, bilet na pociąg, udzieliła mu swego błogosławieństwa na drogę i na udział w wojnie oraz służbę w Legionach. W takich oto okolicznościach Ojciec został żołnierzem II Brygady Legionów Polskich.

Po roku otrzymał przepustkę z frontu, przyjechał do Krakowa, zdał maturę w swoim dawnym gimnazjum i zapisał się na studia na Wydział Rolny w Dublinach (Wyższa Szkoła Rolnicza przekształcona w 1902 r. na Akademię Rolniczą



Kazimierz i Władysława Marsowie z dziećmi w parku w Łososinie Górnej. Na koniu Krzysztof. Fotografia z początku XX wieku.

– przez dłuższy czas była jedyną wyższą uczelnią rolniczą na ziemiach polskich pod zaborami. W 1919 roku włączona do Politechniki Lwowskiej jako Wydział Rolniczo – Leśny – przyp. red.).

Studia jednak przerywa i powraca do wojska.

Po zakończonej I wojnie światowej, przyjeżdża do domu i niezwłocznie kontynuuje rozpoczęte studia rolnicze w Dublinach. W czasie wojny otrzymuje



Krzysztof Mars w mundurze Legionisty.

stopień podoficera oraz zostaje uhonorowany medalem za odwagę w służbie zwiadu, a także łączności i artylerii.

W międzyczasie zostaje spadkobiercą bezdzietnego stryja Jana Noga Marsa, odziedziczając majątek ziemski w 60% w Sądowej Wiszni (krótki opis miasta w dopisku – przyp. red.). W majątku tym m. in. znajdował się pałacyk częściowo zniszczony podczas wojny.

W 1920 roku natychmiast pozostawia dokończenie studiów oraz odziedziczony majątek i bierze udział w wojnie polsko – bolszewickiej, jako oficer, służąc w artylerii. Uczestniczy w walkach z Armią Czerwoną w rejonach północnych Polski, broniąc przepraw (mostów) na Wiśle w Grudziądzu, Toruniu, Płocku i Brodnicy, co miało na celu obronę Warszawy.

Po zwycięstwie „Cud nad Wisłą”, powraca do Sądowej Wiszni i kończy studia w 1921 roku w Dublinach. Za udział w wojnie 1920 r., będąc w randze kapitana, otrzymał Krzyż Waleczny oraz order Virtuti Militarii (V klasy).

W roku 1933 żeni się z Olgą Chrzęszcz, pochodzącą z Graboszy, pow. wadowicki. W tym samym czasie sprowadza do Sądowej Wiszni matkę, która w czasie wojny przebywała w dworze w Limanowej. Podejmuje trudne wyzwanie i przeprowadza generalny remont zniszczonego w czasie wojny pałacyku odziedziczonego od wuja Jana. Na dowód jak piękny



Pocztówka przedstawiająca oryginalny wygląd Pałacu Marsów w Sądowej Wiszni przed sowiecką okupacją.

i wielki był to pałacyk podam jeden przykład: mogłam wraz z bratem jeździć po wielkiej sali balowej na hulajnodze. Większą część gruntów swego majątku dla celów doświadczalnych Ojciec wdzierzał Fabryce Nawozów Sztucznych w Chorzowie. Uruchamia pełną „parę” cegielnię, uzyskując przyzwoite dochody z produkcji cegły. W tym czasie było bardzo duże zapotrzebowanie na materiały budowlane po zniszczeniach wojennych, (opracował trzy patenty na wyroby ceramiczne). W majątku był także tartak. Wióry tartaku wykorzystywano na kosszyczki. Ich wyplataniem zajmowali się w majątku ludzie starsi.

Natomiast Matka moja zajmowała się sadem i kilkunastomilionową plantacją poziomki. Poziomki odbierane z plantacji przez samochód chłodnie dostarczane były na lotnisko we Lwowie i leciały w świat, między innymi do słynnego londyńskiego Harrodsa. Dochody z plantacji poziomki były spore. Pomogły postawić na nogi zadłużony majątek. Już w 1939 roku. Ojciec był właścicielem w 98% majątku w Sądowej Wiszni. Spłacił wspólnika testamentowego, wszystkie długi, kredyty, legaty i posiadał spore oszczędności. Dom – pałacyk po kapitalnym remoncie i modernizacji na nowo powrócił do dawnej świetności.

Ojciec – szczupły, sprężysty, o sportowej sylwetce – nade wszystko kochał konie. W Sądowej Wiszni hodował półkrwi



Krystyna i Antoni Mars z matką Olgą (fotografia z lewej) i ojcem Krzysztofem (fotografia z prawej) w dworze w Przyszowej. Fotografie z okresu okupacji.

► i pełnej krwi angielskiej. Jeździł konno całe życie. Mnie – dwumiesięczną córeczkę brał pod pachę i woził ze sobą.

Zbliżały się trudne lata trzydzieste ubiegłego stulecia. W maju 1939 roku Ojciec zostaje zmobilizowany do wojska, do obrony Twierdzy Przemyśl.

W mojej pamięci do dnia dzisiejszego utkwiła chwila krótkiego pożegnania. Do dużego hallu w pałacyku wprowadzono osiadłanego konia (nigdy czegoś podobnego nie było). Ojciec w mundurze w ciszy ucałował rękę Babci Władysławy i mojej Matki, zaś mnie i mego brata Antoniego w czoło, dosiadł konia i wyjechał z domu.

Matka moja z Babcią Marsową i dziećmi opuściła dom w Sądowej Wiszni na początku grudnia 1939 r., unikając tym samym wywiezienia w głąb sowieckiej Rosji. Otrzymały one od Sowietów 15 minut na to, żeby opuścić pałac. Nawet nas nie poubierała, tylko owinęła w koc, siadła z Babcią na koźle i wyruszyliśmy parą koni z wózkiem do Przemyśla. Stamtąd udaliśmy się do Graboszy, rodzinnego domu mojej matki. Pobyt w Graboszykach był krótki. Już wiosną 1940 r. musieliśmy opuścić „gniazdo” rodzinne Mamy, bowiem uszczelniono granicę między Generalną Gubernią a Reichem. Granica była na rzece Skawie 1000 metrów od domu.

Udaliśmy się więc do Limanowej, do dworu Ojca Wujca Zygmunta Marsa.

W 1940 r. powrócił mój Ojciec ze Lwowa, chory i wynędzniały do Limanowej. Gdy tylko odzyskał siły, podjął pracę zarządcy folwarku OO. Cystersów w Szczyrzycu. Klasztor był wsparciem dla partyzackiego ruchu oporu; licznych oddziałów w tym rejonie. Sprzyjały tej sytuacji tereny górskie, lasy, wąskie boczne drogi. W 1944 roku przenieśliśmy się do Przyszowej do posiadłości siostry Ojca, Janiny Żuk-Skarszewskiej. W tym okresie

okupacji hitlerowskiej Ojciec czasem z towarzyszymi broni ukrywali się we dworze w Świdniku.

Po zakończeniu II wojny światowej w 1945 roku zamieszkaliśmy w Wadowicach (rodzinne strony mojej matki). Poszukiwania wzajemne przez Czerwony Krzyż pozwoliły ustalić, kto zginął, kto przeżył, kto jest wolny, kto skazany jako więzień polityczny, a kto nie powróci do Polski. Zaczynaliśmy życie od nowa, dom rodzinny pozostał w sowieckiej Rosji. Ojciec optymistą był



Dwór Marsów w Starej Wsi - Limanowej - lata okupacji.

rad, że odnaleźliśmy się w Polsce – nie na Syberii i znane są losy reszty najbliższych. Wydawało się, iż pomimo utraty majątku w Sądowej Wiszni, dorobku całego życia Rodziców, na swój sposób byliśmy „uradowani”, bowiem mogliśmy przebywać razem. A jednak kłopoty nasze się nie skończyły, przyszły lata ciężkie i przykre, bowiem nastąpił okres stalinowski i szykany administracyjne w ramach „walki klasowej”.

Ojciec podjął pracę jako robotnik placowy w tartaku, następnie po kursach dokształcających otrzymał uprawnienia majstra tkackiego. Został więc tkaczem chałupnikiem w Spółdzielni „Cepelia” w Nowym Targu.

Po tragicznej śmierci mego brata, Antoniego (absolwent architektury Politechniki Krakowskiej), w wypadku drogowym w 1960 r. (zginął, jadąc na motorze z Limanowej do Nowego Sącza), rodzice przenieśli się do Krakowa.

Kolejną pracą mego Ojca przez kilka lat było wykonywanie planów ekonomicznych dla gospodarstw doświadczalnych w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego (SGGW) w Warszawie. Natomiast w Krakowie był ekspertem do wyceny ziemi przymusowo wykupywanej pod budowę dróg i zalewów (np. wieś Maniowy) w Czorsztynie. Pracę tą zlecał Sąd Okręgowy w Krakowie.

Po długiej i ciężkiej chorobie zmarł 18 października 1974 roku w Krakowie, pochowany w kaplicy rodowej na cmentarzu parafialnym w Limanowej.

Ja organizowałam jego pogrzeb i przed Mszą św. pobiegłam na cmentarz, aby sprawdzić, czy wszystko jest w należytym porządku. Ku memu zdumieniu na schodach do krypty pod kaplicą spotkałam bardzo sędziwego pana, o pięknych rysach twarzy z długą siwą brodą. Zaskoczona zapytałam: „Co Pan tu robi?”
„Jo przyloz obocyc czyś ta godne miejsce Krzysiowi naryktowali. Jo i jego ociec w Łososinie jak był jescce w kolybce rzemiyń od bicza na kunie pod noskiem dali pocuc co by całe życie kunie kochol”.

Byłam więcej niż zdumiona, serce mi się ścisnęło na myśl, że tak serdeczne słowa usłyszałam.

Rzeczywiście Ojciec konie kochał. Na trzech wojnach z końmi się nie rozstawał. Jako żołnierz nauczył się przedzierać, jadąc konno. Życie traktował jako powinną służbę Ojczyźnie, rodzinie i społeczności, w której żył. Takie zasady nie były w owych czasach żadną

nadzwyczajnością, Ojciec nie był wyjątkiem na tle swej epoki. Na pewno przykłady przodków w rodzinie Marsów, wpływy religii i takich kapłanów jak ksiądz prałat Kazimierz Łazarski, przyjaciel całej rodziny Marsów, ukształtowały go jako człowieka, osobę o charakterze niewątpliwie godną do naśladowania.

Córka

Artykuł został dopełniony materiałami zgromadzonymi przez redakcję „Echa Limanowskiego”

Fotografie: arch. ze zbiorów Krystyny Mars-Gawlikowskiej

W imieniu Czytelników i Redakcji „Echa Limanowskiego” wyrażam serdeczne podziękowanie Pani Krystynie Mars Gawlikowskiej – dr nauk medycznych, za przygotowanie wspomnień o Ojcu, Krzysztofie Noga–Marsie.

Stanisław Ociepka



Ruiny Pałacu Marsów w Sądowej Wiszni.
Fot. J. Kował, W. Pysz



PS

Sądowa Wisznia miasto w powiecie mościskim woj. lwowskie – jest najstarszą miejscowością w obwodzie lwowskim. Leży nad rzeką Wisznia (prawy dopływ Sanu). Do Przemyśla – 46 km, do Lwowa – 48 km. Stacja kolejowa Sądowa Wisznia znajduje się na linii Przemyśl-Lwów.

Dziedzicami Sądowej Wiszni w XIX w. byli Henrieta Hrabianka Komorowska oraz Antonina z Hrabów Komorowskich hrabina Bąkowska. Następnie, od początku XX w. Jan Nepomucen Stanisław Witalis Mars herbu Noga, a po nim Krzysztof Mars Noga.

Zabytkami archeologicznymi w Sądowej Wiszni są m.in. ruiny Pałacu Marsów, z połowy XVII stulecia, który był wielokrotnie przebudowywany, spalony całkowicie pod koniec XX wieku.



„Kamieniec” widoczny z wieży limanowskiego kościoła. Przy ulicy Rzecznej żydowska drewniana zabudowa. Pośrodku budynek garbarni. Potok Mordarka jeszcze nieregulowany. Fotografia prawdopodobnie z 1940 roku. Na tym terenie w 1942 roku zostało utworzone getto limanowskie.

Niezwykły budynek na „Kamieńcu”

Antoni Mamak, Stanisław Ociepka

Przeglądając po raz kolejny, albumy „Okruchy pamięci – Limanowa na starej fotografii”, szczególną uwagę zwróciłem na kadr zrobiony przez nieznanego fotografa z limanowskiej wieży, z całą pewnością przed 1942 rokiem. Zdjęcie to ukazuje północno-wschodnią część naszego miasta „Kamieniec”. Jest to niezwykle wartościowe ujęcie, gdyż pokazuje nam fragment Limanowej dotkniętej okrutnie przez wojenne losy.



Ulica Rzeczna (obecnie Kilińskiego) na „Kamieńcu”. W głębi po lewej kamienny mur, przy którym w czasie okupacji odbywały się egzekucje na Żydach. Z prawej niewidoczny budynek garbarni.

To miejsce zamieszkałe w większości przez ludność żydowską, przeżywało w okresie międzywojennym dni dobrobytu i rozkwitu, aż do tragicznych lat wojennych i do zupełnej jej zagłady.

Losy tej dzielnicy zaczęły dopełniać się w dniu 19 stycznia 1945 r., kiedy „zwycięska” luna pożaru rozświetliła północną stronę rynku. Opuszczone pożydowskie domy w rejonie dzisiejszego małego

rynku wyburzono. Część „Kamieńca” w kierunku potoku Mordarka zamieszkałi mieszkańcy miasta. Domy te istniały do czasu, kiedy zapadła decyzja ich rozbiórki z przeznaczeniem na centrum mieszkaniowe. Z tej pożogi wojennej i późniejszych zawirowań ocalał tylko jeden piętrowy murowany budynek, stara żydowska garbarnia. Jej ciekawe i zarazem tragiczne losy nieodłącznie łączą się dziejami naszego miasta. Spoglądając na ten kadr, myśli moje jak bumerang powracają do opowiadań mojego ojca i moich własnych obserwacji i przeżyć. Ojciec mój, jak większość rzemieślników w naszym mieście, był z zawodu szewcem. Zawód ten był niezwykle szanowany przez rzemieślników z całą odpowiedzialnością i wyróżniał się sumiennością. Przy pomocy prymitywnych narzędzi, takich jak: dratwa, szczecina, szydło, drewniane kołki, powstawało prawdziwe dzieło. Każdy szewc posiadał też cały arsenał drewnianych kopyt, za pomocą których formował obuwie. Koniecznie należało mieć własną maszynę do zszywania skórzanych przyszew z cholewkami. Mój ojciec posiadał taką maszynę marki SINGER. Obuwie wykonywało się przeważnie na zamówienie. Zmawiający w warsztacie szewskim siadał na zydlu, zdejmował z nogi onuce, rzadziej skarpetkę i zaczynała się mierzenie stopy:



Powyżej: Uczniowie Gimnazjum i Liceum Leśnego przed budynkiem przy ulicy Rzecznej.
Poniżej: Uczniowie Gimnazjum i Liceum Leśnego.



długość, wysokość w pięcie, a przede wszystkim szerokość w palcach. Wiadomo, chodziło się przeważnie boso, to i stopa była szeroka. Kopyto należało więc odpowiednio nadbić, aby but pasował do nogi jak ulał. Inna rzecz, że w czasie upału, panna, czy kawaler nie mogli w nich wystać. Skóra na obuwi musiała być najlepszego gatunku, nie mogło być na niej żadnych sznytów (uszkodzeń na skórze). Podeszwy powinny być grube na kilka milimetrów, wyprawiane specjalnie z wołowego grzbietu, twarde, ale nie łamliwe. Żółte i czarne skóry na trzewiki i półbuty garbowane były z cielęcej skóry. Najpopularniejsze buty z cholewami wykonane były ze skóry juchtowej. Po sezonie, który wypadał na Gromniczną, popyt u nas na buty był

niewielki, stąd powstało szewskie porzekadło, „*Na Gromnicie nie chcą butów nawet czarownicy*”. Dlatego mój ojciec brał na ramiona kilka par butów i szedł z nimi przez góry do Ochotnicy. Tam odbywały się jarmarki. Bliskość granicy z Węgrami sprawiała, że *Madziary* chętnie kupowali buty z Galicji, zwłaszcza te z cholewami, nazywane u nas węgierskie. W Ochotnicy można było kupić niedrogo dobrego węgryzyna albo krajaną machorkę do fajki. Aby sprostać dużemu zapotrzebowaniu na skóry potrzebne do wyrobów obuwia i uprzęży dla koni, już z początkiem XX wieku powstała w Limanowej garbarnia. Z powodu dużego zapotrzebowania na wodę, jak i możliwość odprowadzenia ścieków, garbarnia została wybudowana na „Kamieńcu” w niewielkiej

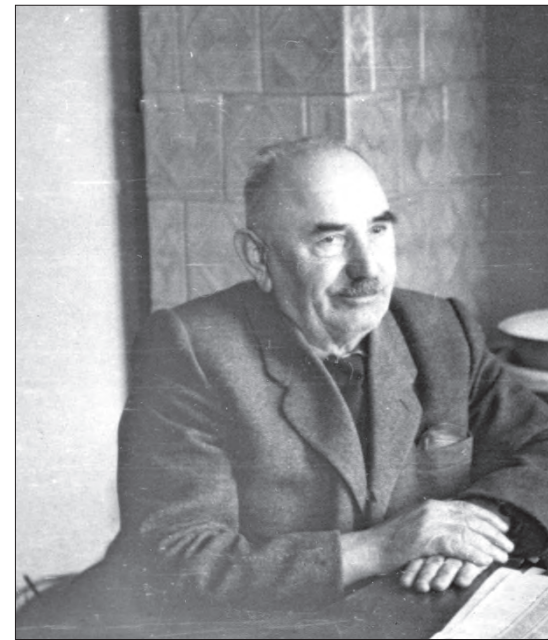


Internat Gimnazjum Leśnego mieścił się w dworze Marsów.

odległości od potoku Mordarka. W tym piętrowym murowanym budynku znajdowały się na górze pomieszczenia dla rodziny i być może jakieś mieszkanie socjalne, natomiast cały parter zajęty był na produkcję skór. W niewielkiej odległości od garbarni, wzdłuż wąskiej uliczki w kierunku rynku, znajdowały się betonowe zbiorniki wypełnione wapnem i zanurzonymi w nim surowymi skórami. Roje much i odór był czasem nie do zniesienia. Właścicielem tejże garbarni do 1942 roku był Żyd o nazwisku Blech. Druga, ale znacznie mniejsza garbarnia znajdowała się w Sowlinach. Mój ojciec, z racji wykonywania swego zawodu, był stałym klientem nie tylko u Żyda na Piekło, gdzie kupował skóry delikatne na trzewiki i półbuty, natomiast na podeszwy i zelówki zaopatrywał się w garbarni u Blecha. Mnie jako kandydata na szewca ojciec czasem zabierał ze sobą. Jak przez mgłę przypominam sobie znajdującą się tam olbrzymią drewnianą beczkę obracaną przy pomocy korby, jakieś stoły, ławy z rozciągniętymi na nich skórami. Tak spokojnie żyli i handlowali wśród naszego społeczeństwa limanowscy Żydzi aż do jesieni 1939 roku. Wybuch II wojny i wkroczenie wojsk okupacyjnych do Limanowej położyły kres ich działalności. Kontakt z Żydami był surowo zabroniony. Pamiętam takie wydarzenie. Pewnego dnia mój ojciec kazał mi iść z jakimś poleceniem do garbarni, mama wręczyła mi zawiniątko z żywnością, przeszedłem przez ławę na potoku i miałem skręcać do garbarni, wtem usłyszałem za moimi plecami krzyk: *Du bist Jude*. Prerażony wystękałem: ▶



Zasadnicza Szkoła Zawodowa mieszcząca się w tym budynku od 1950 roku



Władysław Oleś (pierwszy dyrektor ZSZ) w gabinecie.

► *Nein, mein Haus ist...*, i rękę wyciągnąłem w kierunku Łysej Góry. Już od początku wojny widmo zagłady limanowskich Żydów zaczęło być faktem. Kamienny mur przy ulicy Kilińskiego w pobliżu garbarni jest niemy świadkiem okrutnej zbrodni, jaką przy nim wykonano na limanowskich Żydach. Kto dzisiaj o tym wie? Nawet małej tabliczki w tym miejscu nie ma, stąd apel do Gminy żydowskiej. Na wiosnę 1942 roku, hitlerowcy spędzili z okolic wszystkich Żydów na „Kamieniec”, tworząc zamknięte getto. Garbarnia przepełniona do granic możliwości stała się ostatnim ich schronieniem. A po tym – po tym, nastąpiła pustka – głucha cisza. Z powybijanych okien garbarni wiatr rozwiewał z rozprutych poduszek i pościeli tumany białego puchu jakby pierwszy jesienny śnieg, który zakrywał brudy okrutnej zbrodni. Tak zakończył się pierwszy okres limanowskiej garbarni. Wojna nadal trwała, okupant szalał, na ścianach garbarni i pobliskich stodołach, ukazały się afisze koloru bordowego w języku niemieckim i polskim, z nazwiskami rozstrzelanych polskich zakładników. Po likwidacji getta budynek garbarni przez jakiś czas stał opuszczony. Nie pamiętam dokładnie czy to był rok 1943-44, do pustego budynku garbarni wprowadził się niemiecki oddział SS. Miejsce, gdzie były doły z wapnem i skórą, zostało wyrównane, postawiono tam drewniane baraki dla koni. Po wycofaniu się wojsk niemieckich, budynek garbarni przez jakiś czas stał opuszczony.

Nadeszły inne czasy. Jedyne budynek murowany na „Kamieńcu”, który ocalał, zmienił swoje przeznaczenie. Władza ludowa w 1945 r. za wszelką cenę starała się nadrobić przerwane przez lata okupacji szkolnictwo. Powstawały przyspieszone kursy umożliwiające ukończenie 7 klasy szkoły podstawowej. Rozpoczęły naukę szkoły zawodowe, licea ogólnokształcące, szkoły średnie o profilu zawodowym. Gorączkowo poszukiwano dawnej kadry nauczycieli. W dawnej garbarni, po jej remoncie, rozpoczęło naukę Państwowe Gimnazjum Leśne, a później Liceum Leśne I stopnia. Szkoła miała charakter skoszarowany. Internat dla tej młodzieży znajdował się w dworze Marsów na Starej Wsi, a także w kamienicy Jonasa Hammerschläga przy ul. Sądeckiej. My, dorastający chłopcy, z radością patrzyliśmy na ubrane w zielone mundury maszerujące klasowe plutony. Ich śpiew donośnie rozlegał się po ulicach naszego miasta w drodze do dawnej garbarni, zamienionej na szkołę. Władze polityczne niechętnym okiem patrzyły na pozbywanie starej kadry leśników, mających często wojenną przeszłość partyzancką. Z powodu lęku przed powstaniem zorganizowanego ośrodka „reakcji” antykomunistycznej, w 1950 roku Szkoła Leśna w Limanowej została zlikwidowana i przeniesiona do Ojcowa. Ja rozpocząłem naukę w Publicznej Średniej Szkole Zawodowej. Szewcem jednak nigdy nie zostałem, chociaż przy ojcu zrobiłem parę butów. Pachniało mi morze i szeroki świat.

Późniejsze losy tego wyjątkowego budynku znajdującego się przy ul. Rzecznej (Kilińskiego) na tzw. „Kamieńcu” związane zostały z działalnością edukacyjno-społeczną. Podczas II wojny światowej Limanowa została w znacznym stopniu zniszczona, a jej infrastruktura nie pozwalała na umieszczenie w przyzwoitym budynku budzącego się do życia szkolnictwa zawodowego i średniego.

Budynkami murowanymi, w których mieściły się szkoły w latach międzywojennych, była: Szkoła Powszechna wybudowana w latach trzydziestych ubiegłego stulecia w ogrodach miejskich (dziś ZSS nr 1) i w tym budynku pod bokiem Szkoły Powszechniej 26 lutego 1945 r. rozpoczęły się zajęcia dydaktyczne nowo utworzonego na bazie tajnego nauczania Miejskiego Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnego. Drugim budynkiem murowanym, w którym mieściła się Publiczna Szkoła Zawodowa – Doksztalująca, była kamienica w rynku obok limanowskiego kościoła (szkoła ta powstała w 1924 roku). Działalność tej szkoły zawodowej reaktywowano we wrześniu 1945 r. pod nazwą Publiczna Średnia Szkoła Zawodowa Doksztalująca. Była to szkoła trzyletnia i pracowała początkowo według systemu przedwojennego. Zajęcia teoretyczne odbywały się w budynku obok kościoła, zaś praktyczne w wynajętych lokalach. Wspomniane zaś Państwowe Gimnazjum Leśne zajęcia rozpoczęło 3 grudnia 1945 roku w budynku wynajętym od osoby prywatnej (p. Jaleniewskiej) przy ul. Józefa Piłsudskiego 18 (obecnie ul. Matki B. B.).



Nauczyciele tzw. „Metalówki” z wieloletnim dyrektorem tej szkoły Tadeuszem Ociepką (czwarty z prawej).

Te krótkie wspomnienia ukazują jak trudne były warunki lokalowe na terenie miasta po II wojnie światowej dla powstających nowych szkół. Już w czerwcu 1945 roku Miejskie Gimnazjum i Liceum Koedukacyjne przeniesiono do budynku w Sowlinach, który wydzierżawiono od Rafinerii Nafty. Zaś po remoncie byłej garbarni i adaptacji na potrzeby edukacyjne, na początku 1946 roku naukę rozpoczęło wspomniane Państwowe Gimnazjum Leśne. Kiedy Państwowe Gimnazjum Leśne zostało zlikwidowane, Władysław Oleś, pierwszy dyrektor powojennej Zasadniczej Szkoły Zawodowej – uczący jeszcze przed wojną, zabiegał o przejęcie tego budynku. W rezultacie 16 grudnia 1949 r. szkoła ta otrzymała po raz pierwszy własny budynek. Była to popularnie w Limanowej nazywana „Metalówka”. Po opuszczeniu budynku przez PGL i wykonaniu niezbędnego remontu m. in. dobudowano portiernię przed wejściem, przeprowadzono się z obiektu przy kościele. W tym czasie w budynku było 5 sal lekcyjnych oraz małe pomieszczenia na: bibliotekę, kancelarię, gabinet dyrektora oraz wspomniana dobudowana portiernia. W 1950/51 szkoła uzyskała jeden z budynków byłego browaru, w którym uruchomiono warsztaty ślusarskie.

Po 17 latach nauki w budynku po byłej garbarni na „Kamieńcu” „Metalówka” w listopadzie 1966 r. przeniosła się do nowo wybudowanej siedziby na polach Marsa (dziś Osiedle Zygmunta Augusta). Budynek powstał staraniem Tadeusza



Grupa harcerzek przed Zasadniczą Szkołą Zawodową na „Kamieńcu”.

Ociepki wieloletniego dyrektora tej szkoły. W budynku zaś na „Kamieńcu” powołano do życia „Przyzakładową Zasadniczą Szkołę Budowlaną – PBO Podhale”, która mieściła się w tym budynku do 1972 r. Dyrektorem tej szkoły był Adam Wojs, jednym z pierwszych nauczycieli Jan Joniec. Po włączeniu tej szkoły w strukturę Zespołu Szkół Zawodowych przeniesiono ją w 1972 roku do nowo powstałego budynku w Sowlinach.

Po adaptacji, budynek na „Kamieńcu” zyskał nowych lokatorów, którymi były: Państwowe Przedszkole oraz Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej Limanowa (Wieś). Kiedy zaś w roku 1992 oddzielono

miasto od gminy, przedszkole zostało zlikwidowane, a na jego miejsce znalazł siedzibę Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej, który po dzień dzisiejszy ma tu swoje biura.

Co jeszcze może w przyszłości mieścić się w tym stuletnim murowanym budynku? Trudno powiedzieć. Jedno jest pewne, kamieniczka ta była niemy świadkiem wielu wydarzeń i gdyby mogła je „rejestrować”, zapewne głębsza byłaby nasza wiedza o Limanowej.

Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci”



Powyżej: Persepolis, monumentalne ruiny starożytnego perskiego miasta, splądrowanego w 330 r. p.n.e. przez Aleksandra Wielkiego

Obok: Uczestniczki wyprawy w tradycyjnych czadorach podczas wejścia do meczetu Shah-e-Cheragh w Shiraz

Andrzej Kulig

ZABYTKI W KRAJU DOBRYCH ZMIAN **cz. II**



Od pięciu dni jesteśmy na terenie starożytnej Persji, która od 1936 roku nosi nazwę Iran. Po zdobyciu Demawendu ¹ kierujemy się z wysokich gór Elburs w stronę rozległej Wyżyny Irańskiej, gdzie w miastach odnajdujemy ślady bogatej historii i tętniącą życiem współczesność. W Iranie jest 21 obiektów wpisanych na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, w tym 20 kulturowych i 1 przyrodniczy (pustynia Daszt-e Lut we wschodnim Iranie, od 2016 r.).



Pokryta marmurem wieża – symbol Teheranu i XXV wieków historii Persji

Shiraz

W środę 20 lipca 2016 r., po wczesnej pobudce i po bardzo szybkim pakowaniu jedziemy na krajowe lotnisko Tehran Mehrabad Airport. W stolicy „łapiemy” poranny szczyt komunikacyjny, dlatego dokładnie możemy obejrzeć Azadi Tower – monumentalny Pomnik Wolności w Teheranie. Jest to łuk triumfalny o wysokości 50 m, wzniesiony w 1971 r. w kraju, w którym panowały dyktatura i terror, przez szacha Mohammada Rezę Pahlawiego na 2500-lecie istnienia Persji. Warto pamiętać, że Teheran, zamieszkiwany obecnie przez ponad 12 mln (w aglomeracji ponad 16 mln) mieszkańców, jest nie tylko największym miastem w Iranie (liczącym około 78 mln ludności), ale i na całym Bliskim Wschodzie. Na lotnisku odprawiamy się na lot do położonego na południu Iranu Shiraz – dwumilionowej stolicy regionu. W Eram Hotel, położonym w centrum miasta, jesteśmy przed godziną 13.



W parku przed mauzoleum Hafeza w Shiraz, panie w obowiązkowych hidżach i autor (w nieobowiązkowej czapeczce)



Imponujące mury i baszty (z których jedna jest krzywa) twierdzy Karim Chana w mieście Shiraz, sercu Persji

Po trzygodzinnej przerwie na lunch i odpoczynek jedziemy zwiedzać miasto. Najpierw podjeżdżamy pod Nasir-ol-Molk Mosque – Meczet Różowy, z barwnymi mozaikami i witrażami. Powinno się go zwiedzać tuż po wschodzie słońca, aby w pełni dostrzec efekt gry światła i kolorów. Popołudniowy spacer kontynuujemy w uniwersyteckim ogrodzie botanicznym Bagh-e Eram – Rajskim Ogrodzie, wpisanym na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Ogrody w Iranie cieszą się dobrą sławą, więc warto do nich zajrzeć, chociaż nie wywołują takiego wrażenia jak bogato zdobione meczety.

Wieczorem udajemy się do mauzoleum Hafeza (1319–1389), czternastowiecznego klasyka perskiej poezji lirycznej. O jego popularności świadczy fakt, że mimo stosunkowo późnej pory w parku jest dużo zwiedzających i spacerujących Irańczyków. Widać, że miejsce jest dla nich ważne. Niektórzy oddają hołd jednemu z największych irańskich poetów, czytają jego wiersze, medytują, modlą się, a nawet płaczą. Przy grobie Hafeza Ewa na chybił-trafił odczytuje sentencję: „*ne sois jamais sans amour ni sans vin*” – nigdy nie pozbawiaj się miłości i wina. Widzimy, że Irańczycy kochają Hafeza, ale to wino gdzieś na krętych drogach historii im się pochowało.

Po wykonaniu pamiątkowych zdjęć nasza grupa postanawia pójść do pobliskiej restauracji na kolację. Nasyceni wrażeniami z obejrzanych zabytków i niezłym posiłkiem próbujemy wrócić do hotelu. Jednak ok. godz. 22 stoimy w ulicznym korku. Ruch samochodowy jest wciąż duży. Wygląda na to, że podczas lata wielu bawi się do godziny 1-2 w nocy, chociaż nie jest to jeszcze czwartek przed wolnym w Iranie piątkiem.

My rezygnujemy z dalszej eksploracji Shiraz *by night* i udajemy się do hotelu. Jest północ.

Czwartek jest dniem przeznaczonym na zwiedzanie miasta. Pieszko udajemy się do położonej w środku miasta cytadeli Arg-e Karim Khan – fortecy Karim Chana. Jej mury i baszty są imponujące i dobrze zachowane. Następnie wchodzimy do osiemnastowiecznego meczetu Vakil (Regenta) i położonego obok dawnego miejskiego hammamu – łaźni Vakil. Kilka godzin przed i po lunchu spędzamy na bazarze Vakil. Można tutaj obserwować irańskie *real live*, podziwiać słynne perskie dywany i inne, głównie rękodzielnicze towary oraz rozglądać się za pamiątkami i prezentami. Podczas śródmiejskich wędrówek dochodzę do wniosku, że Irańczycy są interesującymi i miłymi ludźmi. W Iranie nie ma jeszcze wielu turystów, dlatego dość szybko rozpoznają w nas Europejczyków. Jeżeli grzecznie zaczepią na ulicy, to głównie po to by powiedzieć: *Mister, I want picture with you. I want to be your friend*. Pytają o kraj pochodzenia, ale to nie jest nachalność tubylców z krajów arabskich. Tak więc późno, w środku nocy kończymy ten ciekawy i niezbyt męczący dzień.

Persepolis

W piątek wyjeżdżamy z Shiraz. Zatrzymujemy się jeszcze na chwilę przy ogromnej miejskiej bramie, aby zrobić kilka zdjęć i kierujemy się na północ do Persepolis, jednej z największych atrakcji turystycznych Iranu. Po około 1,5 godziny jazdy jesteśmy na pustyni wśród ruin miasta, które już w 1979 roku wpisano na listę kulturowego Światowego Dziedzictwa UNESCO. Jest bardzo gorąco. Wraz z przewodnikiem zwiedzamy poszczególne fragmenty starożytnych

budowli. Po około 3 godzinach w plenerze oglądamy jeszcze półgodzinną prezentację multimedialną, przedstawiającą historię i życie w perskim królestwie. Z Persepolis jedziemy do blisko położonego Naqsh-e Rostam, gdzie znajdują się skalne groby dawnych władców Persji. Ruiny starożytnych pałaców i świątyń sprzed 25 wieków oraz świetnie zachowane rzeźby na skalnych grobowcach Dariusza I, Cyrusa, Kserksesa robią wrażenie.

Ale czas w drogę, do oddalonego o ok. 70 km Bavanat, w pobliżu którego w tzw. „wiosce turystycznej” (forma miejscowej rodzinnej agroturystyki) mamy zarezerwowany nocleg. Po ekspozycji „muzealnej” oprowadza nas córka właściciela.

Obszerny reportaż pt. „*Pieszko do irańskich nomadów*”² napisał Łukasz Supergan, wędrowiec długodystansowy. My wyruszamy na spotkanie z nomadami naszym minibusem. Po około godzinie jazdy zatrzymujemy się przed namiotem i niewielkim budynkiem. Mieszkańcy „wioski nomadów” są Irańczykami i muzułmanami, którzy prowadzą częściowo wędrowny tryb życia oraz zajmują się hodowlą bydła i innych zwierząt gospodarskich. Część naszej grupy udaje się do namiotu rodziny nomadów, a ja z dwoma Mirkami i Krystianem wspinam się po kamiennym zboczku na niewielkie wzniesienie, aby podziwiać okoliczne góry Zagros³. Dla mnie piękne. Podczas wizyty u druzgiej rodziny słuchamy aranżacji śpiewu *a cappella* nomadzkich dziewczyn. Robi się późno, wracamy kilkadziesiąt kilometrów na kolację do naszej wioski.

Isfahan

W sobotę mamy do przejechania ok. 450 km, głównie przez pustynię, więc ►



Panorama Wyżyny Irańskiej u stóp łańcucha górskiego Zagros

► specjalnych atrakcji po drodze nie planujemy. Większość trasy pokonujemy, jadąc drogą ekspresową. W godzinach popołudniowych jesteśmy w starożytnym irańskim Isfahanie, w dawnej stolicy i trzecim co do wielkości mieście Iranu, położonym na wysokości 1590 m n.p.m., ok. 340 km na południe od Teheranu. Oglądamy zaoferowany „local home”, jednak wybieramy wygodniejszy wariant hotelowy. Kwaterujemy się w hotelu przy Moście Trzydziestu Trzech Arkad (Si-o Seh Pol z 1602 r.) na rzece Zajande Rud. Drugi most z dwupiętrowymi arkadami o nazwie Khaju jest z 1650 r. To przy nich wieczorem zaczyna tętnić życie, bo są to popularne miejsca spotkań mieszkańców. Będąc w Iranie, warto je zobaczyć. W Isfahanie zwiedzamy ormiańską świątynię i Muzeum Ormian, ale przyciągającą nie tylko turystów atrakcją jest w historycznym centrum drugi co do wielkości na świecie (512 x 159 m) Plac Imama Chomeiniego (Majdan-e Imam Homeini), wpisany na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO w 1979 r. Z uwagi na stosunkowo późną porę rezygnujemy ze zwiedzania zabytków na rzecz zajrzenia do położonych wokół placu w dwupiętrowych arkadach sklepików rzemieślników, trochę przypominających krakowskie Sukiennice.

Niedziela jest przeznaczona na zwiedzanie atrakcji Isfahanu. Zaczynamy od obejrzenia z zewnątrz Pałacu Chehel Sotun – pałacu 40 kolumn. Następnie dość dokładnie zwiedzamy cenne zabytki położone wokół Placu Imama Chomeiniego: meczet Alego i szejka Lotfollaha (Błękitny Meczet) oraz pałac Āli Qāpū, a na południe zostawiamy meczet Piątkowy, jeden z najstarszych (z VIII w.) w Iranie, wpisany na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO w 2012 r. Isfahan prezentuje się jako miasto „solidne”: aleje wysadzone platanami, dużo zieleni, dobrze

utrzymane budynki. Klimatem przypomina argentyńską Mendozę i marokański Marakesz.

Ostatni etap wyprawy to ponad trzysetkilometrowa droga przez pustynie oraz półpustynie, pokryte należącymi do kserofitów suchoroślami. Przez okno minibusu chłonę egzotyczne widoki, obserwuję mijane osady, bazy wojskowe i instalacje przemysłowe. Tym razem daje się we znaki skwar, 45-stopniowy upał jest trudny do wytrzymania. Wieczorem zatrzymujemy się w mieście Qom (Kom), aby obejrzeć ogromny meczet i miejscowy bazar. Musimy jednak dotrzeć na lotnisko międzynarodowe w Teheranie.

Droga do Polski

We wtorek 26 lipca porannym samolotem lecimy do Wiednia, gdzie przesiadamy się na samolot do Warszawy. Kilka godzin lotu pozwala podsumować wrażenia z wyprawy. Ogólnie jestem mile zaskoczony sytuacją w tym egzotycznym dla nas kraju, o którym opinia po irańskiej rewolucji islamskiej w 1979 roku została ukształtowana przez polityków amerykańskich i media. Obecnie republika islamska powoli otwiera się w stronę państw liberalno-demokratycznych. W Iranie są liczne problemy społeczne. Do jednego z ważniejszych zaliczyłbym handel narkotykami i narkomanię (przy braku większych problemów z alkoholizmem). Dostrzegamy, zwłaszcza żeńska część naszej grupy, ponurą sytuację kobiet w tym kraju i ich niewielką obecność w przestrzeni publicznej. Na ulicach jest wielu eleganckich Persów i zakryte czadorami, zazwyczaj w kolorze czarnym, niewiasty. Niekiedy młoda kobieta ma kolorowy hidżab zarzucony na czubek seksownego koka, innym razem zakrywa twarz nikabem lub burką. Trzeba pamiętać, że rygorystyczne nakazy w zakresie stroju nie wyczerpują problemów

irańskich kobiet i obszaru ich walki z ajatollahami. Przykładem może być zakaz jazdy na rowerze w miejscu publicznym, by nie pisać o innych fundamentalnych ograniczeniach.

Pora więc odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Iran określiłem jako kraj dobrych zmian. W pierwszej części reportażu napisałem o tym, czego podobno i na pewno brakuje w Iranie. Kraj ten jednak powoli podnosi się z kolan. Natomiast w sąsiedniej Turcji, którą w pierwszej połowie 2015 roku miałem okazję bliżej poznać, sytuacja polityczna w okresie kilkunastu miesięcy zmieniła się nie do poznania. Kontrast dotyczący tych krajów zauważyłem już przed wakacjami w polskich księgarniach: dziesiątki wydawnictw na temat słonecznej Turcji zalega półki, bo wielu potencjalnych nabywców zamiast na Riwierze Tureckiej wybrało wypoczynek np. na wybrzeżu bałtyckim, a książki o Iranie trzeba zamawiać i czekać na nie kilka dni. Podróżując po różnych krajach dostrzegam, że świat się zmienia... Z tych rozważań wyrzywa mnie głos stewardesy: *proszę przygotować się do wysiadania, lądujemy w Warszawie.*

Andrzej KULIG

**Fotografie ze zbioru A. Kuliga
Warszawa, grudzień 2016 r.**

¹ Kulig A.: *Demawend w kraju dobrych zmian*. „EL” nr 256-257. Rok XXIV, s. 30-33, listopad-grudzień 2016 r. Z docierających do mnie opinii wynika, że niektórzy Czytelnicy w rozdziale dotyczącym ataku szczytowego (mimo że była krew) czuli niedosyt dramatyzmu i brak „ostatniego oddechu”. Cóż, wejście na górę wymagało wysiłku, ale daliśmy radę.

² Supergan Ł.: *Pieszko do irańskich nomadów*. Sport i Turystyka. Muza S.A. Warszawa, 2016 r.

³ Pozytywnie zakreślonym polecam: <http://www.lukaszsupergan.com/wyprawa-przejscie-gor-zagros-iran/>



Wielki meczet (XI-XII w.), mauzoleum Fatimy (siostry imama Rezy) w Qom, uważanym za święte miasto szyitów, w którym wybuchła rewolucja irańska



„Zakazane” zdjęcie błyszczącego wnętrza mauzoleum Króla Światła – oddzieleni od kobiet mężczyźni przy grobie Amira Ahmada, brata imama Rezy



Jeden z królewskich skalnych grobowców z okresu imperium Achemenidów w Naqsh-e Rostam



Meczet Agha Bozorg i medresa (teologiczna szkoła muzułmańska) w Kaszanie, mieście na szlaku z Isfahanu do Qom, z którego według chrześcijańskiej tradycji wyruszyli Trzej Królowie, kierując się do Betlejem



Kraina zmysłów: smaków, zapachów i kolorów (w tym przypadku przypraw) na XVIII-wiecznym bazarze Vakil w Shiraz



Dział rękodzielniczej „metaloplastyki” – naczynia użytkowe na bazarowym stoisku w Isfahanie



Fot. 1

Obrazy Jolanty Kłosowskiej



Fot. 2



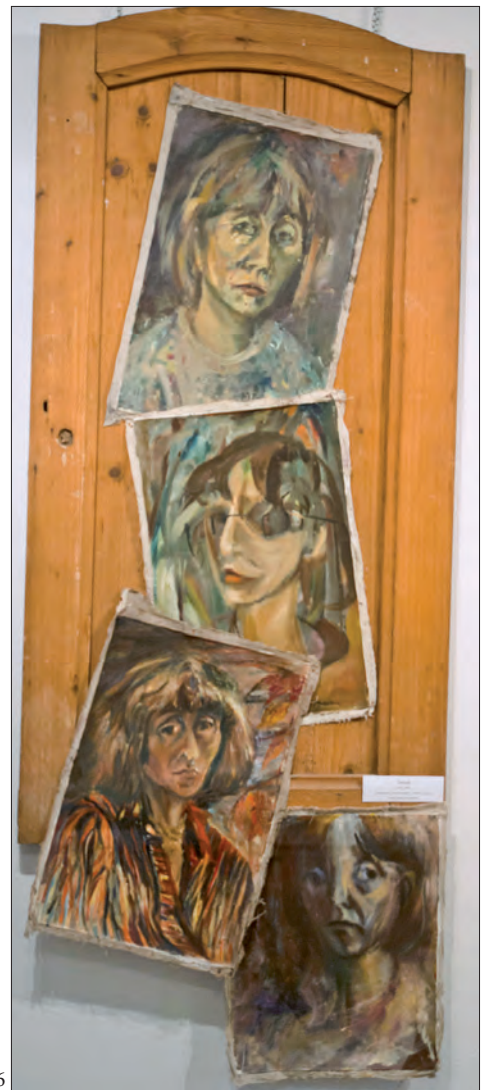
Fot. 3

Fot. 1 - Ostatnia wieczerza z perspektywy Judasza - 1992 r. Obraz wielokrotnie przemalowywany i niedokończony.
Fot. 2 - Ogród Matek 1 - 1982 r. Obraz należący do tryptyku pt. „Ogród Matek”.
Fot. 3 - Pierwszy autoportret - 1978 r. Obraz namalowany w czasach szkolnych.
Fot. 4 - Zygmunt przy sztalugach - 1995 r.
Fot. 5 - Jesień - 2009 r.
Fot. 6 - Stroje - autoportrety.
Fot. 7 - Matka Boska Bolesna z Czarnego Dunajca - 2016 r. Ostatni niedokończony obraz.

Fot. 5



Fot. 4



Fot. 6



Fotografie: Stanisław Ociepka



Fot. 7



Producent Środków Czystości
od 1991 roku
www.golddrop.eu



Najserdeczniejsze życzenia
spokojnych i radosnych
Świąt Bożego Narodzenia
oraz

szczęśliwego Nowego Roku 2017

Zarząd Gold Drop



Wspomnienia harcerskie z lat 1945-1948

Danuta Suwała

Do Związku Harcerstwa Polskiego wstąpiłam po zakończeniu II wojny światowej. 29 kwietnia 1945 roku. Wraz ze mną wstąpiły Teresa Mikulanka, którą nazywaliśmy „Dzidką”, Marysia Krasuń i wiele innych dziewcząt. Moje wspomnienia dotyczą jednak naszej trójki (Teresy Mikuły – Dusznickiej, Marii Krasuń – Kazimierczak i mnie Danuty Korczyńskiej – Suwały). Bardzo się wtedy zaprzyjaźniłyśmy, a przyjaźń z niewielkimi przerwami, trwała do końca dni Teresy i Marysi. W ostatnich latach prawie codziennie dzwoniłyśmy do siebie. Najpierw odeszła Teresa, a w zeszłym roku Marysia. Często o nich myślę i czuję potrzebę podzielenia się z Czytelnikami „Echa Limanowskiego” wspomnieniami z lat spędzonych wspólnie w harcerstwie.



Żeńska drużyna gimnazjum z opiekunką Eugenią Naturską - w mundurze pierwsza z lewej, dalej Maria Krasuń - drużynowa. W kolejnych rzędach stoją: w pierwszym - Danuta Korczyńska (autorka), Halina Rosenbeiger, w drugim - Józefa Mikołajczyk, Teresa Mikuła, Dorota Czeczótka, w trzecim - ??, Stanisława Jarońska, Janina Szewczyk - 1947 rok.
Fot. arch. albumu „Okruchy pamięci”

Drużyny harcerskie, zarówno żeńska, jak i męska powstały w kwietniu 1945 roku. Naszą pierwszą drużynową była Anna Nowak, córka przedwojennego starosty limanowskiego. Komendantką Chorągwi Krakowskiej była wówczas Alina Kleczewska, przewodniczącym ZHP był Janusz Wierusz – Kowalski. Przez pierwsze miesiące każda niedziela rozpoczynała się Mszą świętą i odśpiewaniem modlitwy harcerskiej „O Panie Boże Ojczyzno Nasz...”. Wychodząc z kościoła, śpiewaliśmy hymn harcerski „Wszystko co nasze Polsce oddamy”. Wieczorem paliliśmy ognisko na tzw. „Siwym Brzegu”, śpiewając harcerskie piosenki.

Nadszedł czas wakacji i zaproponowano nam wyjazd na obóz harcerski do Żegiestowa, a był to przecież rok 1945 i grasowały bandy UPA. Mój ojciec, który spędził całą okupację w obozach koncentracyjnych, bardzo się sprzeciwiał mojemu wyjazdowi, ale miałam wsparcie w mamie i jakoś udało się go przekonać. I tak, w lipcu 1945 roku, wszystkie trzy znalazłyśmy się w wagonie „bydlęcym”, którym pojechałyśmy z całą drużyną żeńską i męską do Nowego Sącza, a stamtąd samochodem ciężarowym do Żegiestowa. Zakwaterowano nas w willi „Wiktor”. Były tam małe pokoje i nasza trójka zajęła jeden z nich.

Z tamtych czasów zapamiętałam piosenkę:

*Gdzie wspaniały „Wiktor” stoi,
W Żegiestowie aż się roi,
Druhny gonią tu i tam
I drухowie – dobrze nam!*

Dzień na tym obozie zaczynał się od odtrąbienia przez któregoś z harcerzy pobudki (Z Limanowej zapamiętałam Józefa Czyżowskiego). Potem „kąpiel” w zimnym Popradzie, wieczorem ognisko i odśpiewanie „Idzie noc...”.

Podczas jednej z wypraw, której celem było zdobycie jednej ze sprawności harcerskich, natrafiłyśmy na ogromną ilość czarnych jagód, które były wówczas wspaniałym pokarmem dla naszych głodnych żołdaków, gdyż wyżywienie było bardzo skromne i składało się z niewielkiej ilości chleba, na obiad zaś była kapusta, niekiedy okraszona „robaczkami”, ziemniaki i herbata słodzona melasą.



Drużyna żeńska harcerzek gimnazjum opiekująca się grobami w kwaterze wojskowej na parafialnym cmentarzu w Limanowej. Od lewej: Zofia Studencka, Wanda Czeczótka, Danuta Korczyńska, Maria Krasuń i Halina Rosenbeiger - 1947 rok.
Fot. arch. albumu „Okruchy pamięci”

(ciąg dalszy na stronie 53)

Oni tworzyli historię naszej świątyni

Stanisław Ociepka

W najbliższych latach przypadają będą 100. rocznice znaczących wydarzeń we współczesnej historii kościoła limanowskiego, dziś bazyliki Matki Boskiej Bolesnej.

Związane są one z poświęceniem kościoła przez ks. Kazimierza Łazarskiego, który po siedmiu latach heroicznej budowy, na kilka dni przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości, 6 października 1918 roku odprawił w nim pierwsze i zarazem dziękczynne nabożeństwo różańcowe.

Kolejną ważną datą w historii limanowskiej świątyni była po 10 latach od rozpoczęcia budowy kościoła jego konsekracja, której dokonał bp Leon Wałęga, ordynariusz tarnowski, w dniu 6 października 1921 roku.

Przygotowując się więc do opracowania głębszych rozważań związanych z dokonaniem na przestrzeni stulecia limanowskiej parafii, należy pamiętać o kapłanach, którzy wyznaczali rytm pracy przy monumentalnej świątyni od rozpoczęcia jej budowy aż po dzień dzisiejszy.

Na łamach „Echa Limanowskiego” prezentowaliśmy postacie księży, którzy kolejno zarządzali parafią. Byli to: ks. Kazimierz Łazarski, który objął probostwo 11 listopada 1890 roku i pełnił tę posługę aż do śmierci 12 listopada 1944 roku. Kolejnym proboszczem był ks. Antoni Zapała, od 10 listopada 1946 r. do 17 stycznia 1947 r. Ten mało znany kapłan pełnił posługę zaledwie trzy miesiące, pisaliśmy o nim w „EL” nr 236–237 z 2014 roku.

Następnym proboszczem był ks. Ludwik Kowalski, który został mianowany proboszczem 30 stycznia 1947 r., a do Limanowej przybył dopiero w marcu tego roku i posługę pełnił do 14 lipca 1979 r. Po księdzu Kowalskim probostwo przejął ks. Józef Poręba, który pasterzował parafii do listopada 2010 roku. Następcą został ks. Wiesław Piotrowski, który objął limanowską parafię 28 listopada 2010 roku.

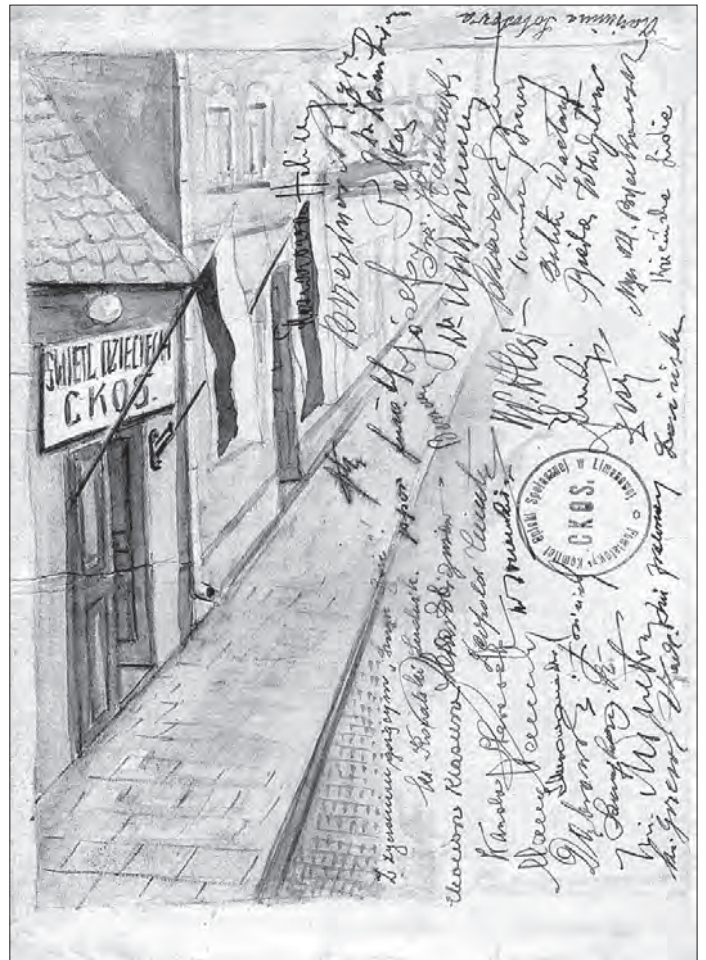
Zaciekawiony Czytelnik zapewne zauważył pewne luki w ciągłości sprawowania posługi probostwa, które przypadają na ostatni rok okupacji hitlerowskiej oraz pierwsze lata tworzenia państwa ludowego. Postacią wypełniającą te luki był ks. Władysław Grzesik, pełniący dwukrotnie funkcję administratora parafii limanowskiej.

Do Limanowej przybył 13 grudnia 1943 roku, aby wspomóc schorowanego ks. Kazimierza Łazarskiego. Po jego śmierci obejmuje posługę administratora, którą pełnił do 10 listopada 1946 roku, do czasu objęcia probostwa przez ks. Antoniego Zapałę.

Po trzech miesiącach sprawowania urzędu ks. Zapała nagle umiera, ks. Grzesik po raz drugi zostaje administratorem parafii limanowskiej od 17 – 30 stycznia 1947r., a praktycznie do marca 1947 r., kiedy do Limanowej przybył ks. Ludwik Kowalski, by przejąć probostwo.

Tak więc księdzu Władysławowi Grzesikowi przypadło w udziale organizowanie pogrzebu dwóch proboszczów limanowskich: ks. Kazimierza Łazarskiego, który pochowany został w arkadach północnej części kościoła i ks. Antoniego Zapały, którego miejscem spoczynku jest kaplica Marsów na cmentarzu parafialnym.

Niewiele informacji można odnaleźć o pracy ks. Władysława Grzesika, któremu przypadło administrowanie parafią limanowską w tak trudnych latach, dziejach narodu i parafii: schyłek okupacji niemieckiej, wycofanie się Niemców z Limanowej oraz wejście Armii Czerwonej. Administrator Grzesik mając za sąsiada komendę NKWD, która zajęła jeden z budynków plebani tuż obok kościoła, zmuszony był podejmować zapewne trudne decyzje. Brak źródeł pisanych z tego okresu nie pozwala na dokładny opis jego działań.



Tytułowa strona kroniki Świątlicy prowadzonej przez Powiatowy Komitet Opieki Społecznej (kronika pisana przez Stefanię Borzemską). Podpis prezesa PKOS ks. Władysława Grzesika pierwszy z prawej (na dole). Fot. arch. „EL”

W niektórych powojennych dokumentach można odnaleźć jedynie lakoniczne stwierdzenia, jak na przykład w kronice świątlicy dziecięcej przechowywanej w zbiorach parafii, w której m. in. możemy przeczytać: *W roku 1945 został powołany do działania Powiatowy Komitet Opieki Społecznej w Limanowej z prezesem ks. Władysławem Grzesikiem na czele oraz kierownikiem biura ob. Marianem Borzemskim. Dzięki inicjatywie i staraniom wyżej wymienionych osób, wzięto w dzierżawę zupełnie zniszczony i zdemolowany wówczas lokal „Przyjaźni” (budynek mieścił się przy ul. Sądeckiej, obecnie ul.*



Święto sadzenia drzew na Lipowem. Ks. Władysław Grzesik stoi w pierwszym rzędzie drugi z lewej, obok Leopold Winter - ówczesny burmistrz Limanowej - 1946 rok. Fot. arch. „EL”

Kościuszki – przyp. red.), który odremontowano, odbudowując kuchnię i doprowadzając do stanu używalności.

W ten sposób w roku 1946 odbyło się uroczyste poświęcenie i otwarcie świetlicy, która służyła dzieciom nie mającym odpowiednich warunków do nauki w domu w trudnych latach powojennych.

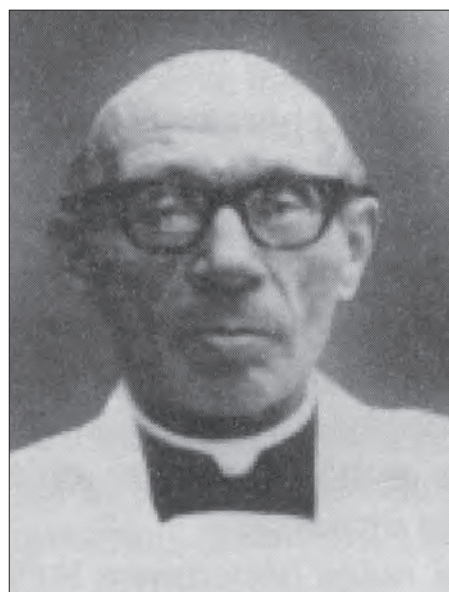
Ze skromnej ilości materiałów archiwalnych na jego temat można odczytać, iż ks. Władysław Grzesik miał umiejętności artystyczne. Będąc prezesem Powiatowego Komitetu Opieki Społecznej, zaangażował się w przygotowanie Rewii, którą wystawiono w Limanowej w dniach 27-28 kwietnia 1946 roku. Zaś w zorganizowanym Amatorskim Kole Caritas w Limanowej ks. Władysław w grudniu 1946 r. wystawił sztukę „Przebudzenie” Bonifacego Wrzosa.

Ksiądz Grzesik stawał w obronie działaczy PSL. Przykładem takim może być zdarzenie odnoszące się do Walentego Gawrona, który przed wyborami do Sejmu Ustawodawczego, mającym miejsce 19 stycznia 1947 roku, był aresztowany wraz z wieloma działaczami ruchu ludowego Ziemi Limanowskiej. Po dwóch dniach zostali oni zwolnieni, ale ponieważ przeciwstawiali się wyborom sfałszowanym przez aparat polityczny to po raz drugi aresztowano ich po wyborach.

Wincenty Gawron, syn Walentego, powiedział: *Byliśmy bardzo zasmuceni aresztowaniem ojca. Moja mama, Anna poleciła mi, abym udał się na plebanię i zamówił mszę w intencji ojca. Uczyniłem to, na plebani spotkałem ks. Władysława*

Grzesika, któremu przekazałem informację. Po pewnym czasie ojciec został zwolniony. W rodzinie mówiło się, że jego wypuszczenie z aresztu nastąpiło po interwencji w Urzędzie Bezpieczeństwa w Limanowej przez ks. Władysława Grzesika.

W latach administrowania parafią ks. Grzesik aktywnie uczestniczył w wielu uroczystościach organizowanych na terenie miasta. Zachowały się fotografie, na których można zobaczyć kapłana w towarzystwie burmistrza Leopolda Wintera z wieloma innymi przedstawicielami władzy Limanowej w uroczystym zalesianiu wzgórza Lipowego zorganizowanym przez Gimnazjum Leśne w Limanowej.



Ks. Władysław Grzesik (1913-1985)

Kim był ks. Władysław Grzesik?

Syn Ignacego i Walerii z domu Flasz. Urodził się 12 października 1913 roku w Buczynie (parafia Sobolów, gdzie w 1920 roku objął probostwo ks. Michał Jeż pochodzący z Lipowego k. Limanowej, Władysław Grzesik miał wówczas 7 lat. Być może ks. Jeż był jego katechetą). Gimnazjum ukończył w Bochni (matura 1932 r.). Teologię studiował w Tarnowie i tu 20 czerwca 1937 roku przyjął święcenia kapłańskie z rąk bp. Franciszka Lisowskiego.

Duszpasterzował od 20 lipca 1937 r. jako wikary w Otfinowie, od 25 stycznia 1938 w Wierzchosławicach, od 15 września 1941 r. w Nowym Sączu, od 12 grudnia 1942 r. mianowany administratorem w Chomranicach, a od 13 grudnia 1943 r. w Limanowej.

Z dniem 9 sierpnia 1947 roku podjął obowiązki proboszcza w Grywałdzie. W tamtejszej parafii angażuje się w działalność miejscowego Caritasu. Mając doświadczenie z działalności teatralnej w świetlicy w Limanowej, organizuje w parafii grywałdzkiej przedstawienia religijne. Prowadził remonty zabudowań gospodarczych, które w czasie okupacji uległy zniszczeniu. W 1949 r. z powodów zdrowotnych został zwolniony z probostwa, a po urlopie zdrowotnym od 28 sierpnia do 23 listopada 1950 r. jest wikariuszem w parafii Kamienica.

Od 22 lutego 1951 r. duszpasterzował w Powroźniku, a od 9 grudnia został proboszczem.

Jako proboszcz tej parafii pełnił równocześnie od 7 lutego 1957 roku obowiązki wicedziekana dekanatu krynickiego. Wreszcie od 23 października 1964 roku został mianowany proboszczem w Zasowie (wieś położona w województwie podkarpackim, w powiecie dębickim) i pracował na tym stanowisku do emerytury – do 10 czerwca 1983 roku. W roku 1954 został wyróżniony odznaczeniem Expositorium Canoniale (EC) dającym mu tytuł kanonika, a w roku 1958 odznaczony Rokietą i Mantoletem (RM).

Ostatnie lata spędził jako rezydent w Zasowie, gdzie zmarł 14 stycznia 1985 roku. Spoczywa w podziemiach kaplicy na tamtejszym cmentarzu.

Biografia została opracowana na podstawie: „Słownika Biograficznego Kapłanów Diecezji Tarnowskiej 1786 – 1985” Tom II. A-J.

Z Żuławskimi na Hrubej Turni



Wawrzyniec, Marek, Jacek Żuławscy w Tatrach - 1931 rok.

Fot. arch. Ewy Żuławskiej-Bogackiej

Pani Śmierć uważnie obserwuje Juliusza i Wawrzyńca Żuławskich w czasie noclegu w skalnej kolebie nad Litworowym Stawem. Jest zdecydowana towarzyszyć im w pierwszym przejściu dziewiczego, niemal pionowego urwiska południowej ściany Hrubej Turni. Widzi, jak Juliusz wyciąga linę i na całą jej trzydziestometrową długość wspina się płytkim, kruchym kominkiem. Sypie się na niego nie tknięty tutaj nigdy ludzką ręką zwietrzały, kamienny gruz.

Starszy z Żuławskich wybiera stanowisko asekuracyjne z dużym trudem, bo pod brzegiem jednego buta ma maleńki stopień i tylko jeden uchwyt. W tych warunkach szukanie mocnej szczeliny na hak i wbijanie go w zwietrzałą powierzchnię zajmuje całą godzinę. Drży z wysiłku łydka jedynej – jako tako – wspartej nogi.

Wprost, w otwartą przepaść

W dole Wawrzyniec się niecierpliwi, chociaż widzi trudności brata. Namawia do wbicia haka byle jak. Juliusz nie słucha, wbija hak głęboko i nienaruszalnie. Dopiero teraz – zapiąwszy linę na karabinku – pozwala bratu dojść do siebie. Tak asekurowany – ale widząc, że Juliusz ledwo stoi – Wawrzyniec robi to szybko i niedbale. Kieruje się skośnym trawersem w prawo, poprzez spadzistą, przewieszoną płytę. W jej połowie – nie znajdując odpowiedniego chwytu – przejeżdża butem po wątlej kępcie trawy i z całym rozmachem leci poza krawędź tej płyty, wprost w otwartą przepaść.

Owijając błyskawicznie linę pod samym hakiem starszy z Żuławskich patrzy ze zdziwieniem, jak szybko w otwartym locie obraca się człowiek lecący głową w dół.

Po dziesięciu metrach tego lotu, którego początek widać, a resztę zasłaniają przewieszane płyty – następuje szarpnięcie. Obie ręce Juliusza w jednej chwili zalewają się krwią, która zaczyna kapać wzdłuż liny. Hak i człowiek – wytrzymują, a po chwili ciszę przerywa stęknienie. Wawrzyniec – niewidzialny dla brata – wisi gdzieś w powietrzu całym swoim ciężarem. Porozumiewają się głosem i Juliusz opuszcza wiszącego powoli, aż na półkę pod skalnymi zerwami. Porażone nerwy jeszcze nie przekazują bólu poszarpanych rąk. Zjeżdża do brata po zakrwawionej linie i dowiaduje się, że „lekką przeciął czoło i żebra go kłują po nagłym szarpnięciu”. Od tego czasu Wawrzyniec staje się ostrożniejszy, a chociaż nadal wspina się szybko i z wielką odwagą, chyba ta właśnie przygoda zrobiła z niego taternika, a potem alpinistę

prawdziwie doświadczonego – skomentuje Juliusz podbój południowej ściany Hrubej Turni.

Kiedy Śmierć zajrzy w oczy

Opowieść o tym, jak Pani Śmierć zajrzała mu w oczy na południowej ścianie Hrubej Turni wprowadzi do repertuaru swoich opowiadań – „gadanych” i napisanych – młodszy z Żuławskich, Wawrzyniec nazywany „Wawą”. Będzie zaczynał od „spadzistej płyty z maleńką kępką trawy, tak akurat na jedną nogę, bowiem to co zapamiętał tak oceni przy wprowadzaniu – jego zdaniem niezbędnego – nastroju grozy.

„Wtem czuję, że prawa noga zjeżdża mi w dół. Wątki trawniczek nie utrzymał ciężaru. Cały misterny układ równowagi został zniweczony, podchwyty przestały odgrywać jakąkolwiek rolę. Padam płasko na płytę z rozmachem, który wyklucza możliwość zatrzymania się poprzez tarcie. Błyskawicznie uświadamiam sobie, że upadek w przepaść jest nieunikniony...

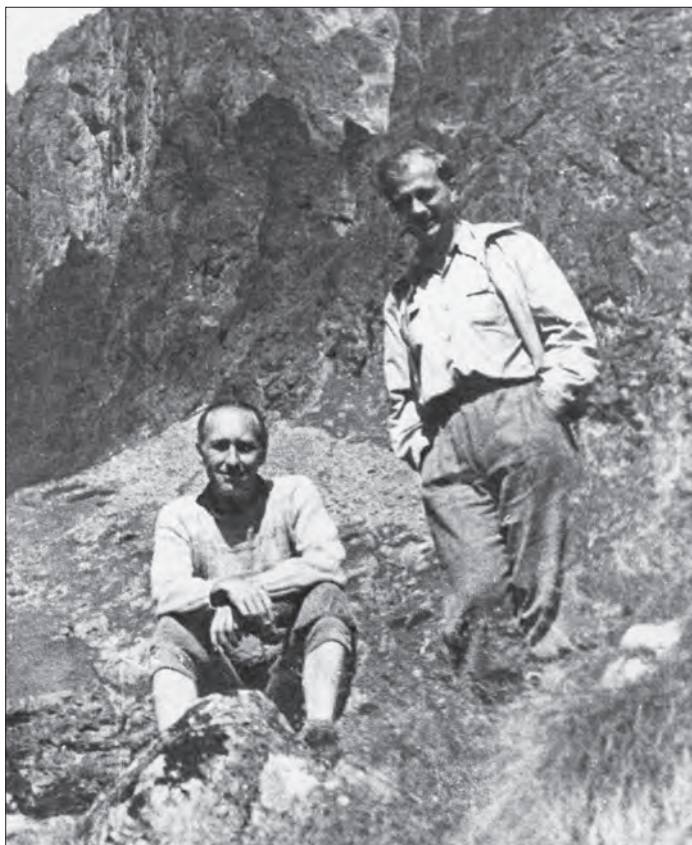
Podobno w takich chwilach staje przed oczyma całe dotychczasowe życie, dom, rodzina, bliscy... Być może. Mnie się jednak nic podobnego nie zdarzyło. Natomiast w błyskawicznym skrócie przeprowadziłem bilans sytuacji: hak wbity w kruchy teren nie wytrzyma szarpnięcia. Juliusz stojący na nędznych stopniach poleci za mną ściągnięty liną, a zresztą lina jest przecież naderwana, trzaśnie pod moim ciężarem.

Koniec. Pasjonująca gra mojego osiemnastoletniego życia skończona. Pozostało jedynie „zachować twarz” do ostatka. Zsuwając się jeszcze ciągle po płycie obracam głowę w stronę stanowiska asekuracyjnego, które znalazło się teraz na mojej wysokości i głosem – jak mi się wydaje – spokojnym, normalnym, opanowanym mówię wyraźnie:
– Lecę!

Jednocześnie odczuwam jakąś dzieciinną satysfakcję: moi pierwsi „mistrzowie” taternictwa, starsi bracia, Marek i Jacek, byliby teraz zadowoleni ze swego ucznia.

Nogi luźno zwisają w powietrzu

W krótkim ułamku sekundy widzę Juliusza na stanowisku asekuracyjnym. Jest spokojny, skupiony, naprężony – zwrócony twarzą do ściany, linę trzyma po obu stronach karabinka, głowę ma schyloną nad hakiem. Na moje „leczę” odpowiedział



Juliusz i Wawrzyniec Żuławscy w Dolinie Jągnięcej w Tatrach - lata pięćdziesiąte XX w.

kiwnięciem głowy i jakimś odmruknięciem. Na moment zalała mnie fala ciepłego uczucia wdzięczności za ten jego uspokajający gest.

Płyta, po której zjeżdżałem na brzuchu, skończyła się. Lecę teraz powietrzem i natychmiast obróciło mnie do góry nogami. Czuję potężne uderzenie w głowę. – prawdopodobnie następne piętorko płyt. Skutkiem uderzenia odwraca mnie znowu, robię salto w tył i przez sekundę na wysokości oczu widzę wielką rozprysniętą na płycie kałużę mej własnej krwi. Lecę znowu w przód. Dachówki się skończyły – teraz głęboko w dole pod nogami dostrzegam piargi. Za chwilę poczuję szarpnięcie, lina się zerwie i polecę dalej ku głazom, cierpliwie czekającym pod ścianą.

Szarpnięcie nastąpiło – potwornie silne, wgniatające mi w żebra młotek zatknięty za pasem, tak bolesne, że aż wydarł mi się jęk, a potem nagłe...

Martwa cisza, ustał szumiący w uszach pęd powietrza, nie objam się już więcej o ścianę. Nogi zwisają mi luźno w powietrzu. Nie spadam już. Wiszę.

Z góry dochodzi mnie trochę niepewny głos:

– Żyjesz?

– Żyję.

– Gdzie jesteś?

– Wiszę.

Rozglądam się, metr czy dwa pod sobą widzę dosyć obszerną platformkę.

– Opuść mnie kawałek niżej. Prędko, bo długo nie wytrzymam.

Lina drgnęła, zjechałem jak windą i wylądowałem na piarzystej platformce. Rozluźniłem trochę zaciśnięty mocno węzeł na klatce piersiowej i odetchnąłem swobodniej. Zaczęłem łapać zduszony oddech.

– Zjedziesz do mnie? – pytam po chwili.

– Zaraz.

– Sprawdź, czy hak jeszcze dobrze siedzi – raptem stałem się bardziej ostrożny. Hak istotnie mógł być mocno osłabiony szarpnięciem.

Słyszę stukanie młotka, tymczasem wspieram się o jakiś występ skalny, bo nogi trzęsą się pode mną z wrażenia.

– Hak siedzi doskonale – woła brat już trochę weselszym głosem. Za chwilę słyszę chrobot liny, potem znad przewieszki zjawiają się jego nogi, wreszcie sam staje obok mnie. Obie dłonie ociekają mu krwią, bo lina przy szarpnięciu zdarła z nich skórę i ciało prawie do kości. Ja mam tylko rozbitą głowę, a raczej rozciętą na sporej przestrzeni skórę i ze dwa lub trzy żebra prawdopodobnie pęknięte. Zakrwawieni jesteśmy obaj nieludzko, ale to głupstwo. Przecież niewiele brakowało, by jeden lub dwa trupy legły pod ścianą.

Żelazny repertuar opowiadań

Opowieść o spadaniu w objęcia Pani Śmierci – samodzielny lub razem z bratem – weszła do „żelaznego repertuaru”, fascynującego słuchaczy każdej płci, a szczególnie niewieściej. O wyprawach ratunkowych, w których uczestniczył – chętnie słuchano. O transporcie ciała Zbigniewa Abgarowicza, zmarłego z wyczerpania na północnej ścianie Mięguszwieckiego Szczytu – też opowiadał.

Pani Śmierć dreptała za nim w grudniu 1938. Pokąsała na wschodniej ścianie Mont Blanc, szturmowanej przez Sentinelle Rouge. Z obawy przed gangreną zgodził się na ingerencję chirurgów.

„Ostatecznie to jest drobiazg: 1 palec stracony w całości (najmniejszy lewej), duży palec prawej częściowo i duży lewej leciutko zdeformowany” – w liście z Warszawy zawiadamiał brata Juliusza, mieszkającego w tym czasie w Londynie.

Więcej było w liście informacji o wykorzystywaniu „prześciowego kalectwa” do przygotowywania się do „jakiegoś tam egzaminu na uniwersytecie”, napisania dłuższej, kilkuczęściowej kompozycji i „pracy nad Harnasiami”. Następny list do Londynu w całości poświęcił sugestiom, co brat powinien w Alpach zwiedzać, gdzie zamieszkać, jeździć na nartach. Ujawniał miejsce zakupu aperitifów „tanich jak barszcz”, a nawet wspominał o pewnie miłej „facetce, której trzeba fundować schronisko i żarcie, bo nie ma pieniędzy.”

Jak dołączyć do najlepszych?

Można śmiało napisać, że Pani Śmierć śladem Wawrzyńca Żuławskiego ruszyła już w 1932, gdy w tajniki sztuki wspinania zaczęli go wprowadzać: brat Ojca – Janusz Żuławski, jego syn – Jacek oraz najbardziej w nauczaniu aktywni rodzeni braci: o sześć lat starszy Juliusz i o osiem – Marek. Z nim Wawrzyniec – nazywany „Wawą” – zdobył północno – zachodnią ścianę Żabiego Mnicha.

Jeśli prawdą jest informacja o notesie, w którym Pani Śmierć wpisała (lub jej wpisano) nazwiska przewidzianych do obserwacji wybitnych polskich taterników, to obok Żuławskich byli: Jan Staszek, Zbigniew Korosadowicz, Tadeusz i Stefan Bernardzikiewiczowie, Stanisław Luxemburg, Maciej Zajączkowski. Z czasem dołączy do nich Tadeusz Orłowski, w konspiracji znany później pod pseudonimem „Justyn”.

Z pomocy doktora „Justyna” skorzystają nie tylko taternicy i alpiniści, ale również – w różnych sytuacjach – lokatorzy mieszkania na trzecim piętrze w Warszawie, przy ulicy Marszałkowskiej 62.

Wspomnienia Alicji Łuka z domu Wrona - cz. 1

Przedstawiamy Czytelnikom limanowiankę, która wychodząc z małego miasta, kończąc tutaj Szkołę Podstawową i Muzyczną I stopnia, poprzez szkoły średnie i wyższą w Krakowie, w wyniku wyteżonej pracy i talentu odziedziczonego po Rodzicach, osiągnęła szczyty kariery wokalnej, o której niejednen mógłby tylko pomarzyć. Pozostawiamy Państwa z Alicją i Jej wspomnieniami.

Lata limanowskie 1961-1976: Wczesne dzieciństwo i roczny pobyt u Cioci Steni Dunal-Wieczffńskiej w Brzegu n/Odrą, woj. opolskie

Urodziłam się w piękny środy poranek 2 sierpnia 1961 roku w Limanowej jako szóste dziecko Genowefy z domu Wilczyńskiej – nauczycielki i Józefa Wrony, elektromontera Łososińskich Zakładów Przemysłu Drzewnego w Łososinie Górnej (obecnie dzielnica Limanowej). Gdy się urodziłam, Mamusia bardzo się cieszyła, Tatusz jeszcze bardziej. Wszyscy mówili Tatusiowi, że jestem do Niego bardzo podobna, z czego się cieszył i bardzo mnie kochał. Ze szpitala, jako jedyne dziecko, zostałam z Mamusią i Tatusiem przywieziona do rożką. W domu powitało nas pięknie całe moje rodzeństwo. Rodzice tak umiejętnie i pięknie przygotowali wszystkich na przybycie nowego członka rodziny, że wszyscy się cieszyli, że mają jeszcze jedną siostrzyczkę. Moje rodzeństwo bardzo mi pomagało. Najstarsza jest Danusia¹, która się mną opiekowała, wyjeżdżała ze mną wózekiem na spacer i pomagała Mamusi w pracach domowych. Drugą wiekiem jest siostra Helenka Wiesława², z którą miałam zawsze i mam dobry



Alicja Wrona-Luka, 1985 rok.



Alicja Wrona na rękach siostry Danusi - 1963 rok.

kontakt. Kolejno przychodził Józsiu Szymon³, który szczególnie w podstawowej szkole chodził ze mną na spacer w lecie, a w zimie jeździł ze mną na sankach. Następnie Zbysiu Kazimierz⁴, wspaniały towarzysz zabaw i jako piąty z rodzeństwa, najbliższy mi wiekiem i humorem Winuś (Winicjusz Marian)⁵, z którym najczęściej z całego rodzeństwa bawiłam się, śmiałam się bez końca, a czasem też się kłóciłam. Mamusia i Tatusz bardzo cieszyli się nami, Mamusia była zapracowana, Tatusz również, to było w ciągu tygodnia, w niedzielę starsze rodzeństwo szło na 12-tą do kościoła, Mamusia gotowała obiad, a Tatusz zawsze zabierał mnie i mojego starszego o 3 lata braciszka Winicjusza na Mszę św. na 9-tą rano do kościoła, obecnie Bazyliki Matki Bożej Bolesnej. W lecie, po Mszy Św., zawsze kupował nam lody, w zimie – cukierki. Życie w naszej rodzinie biegło bardzo harmonijnie. Było to w większości zasługą naszej Mamusi, która była mistrzynią budowania nastroju...

Tatusz urodził się jako trzecie dziecko. Wszystkie (3) Jego siostry miały już rodziny, a nasi Rodzice dopiero startowali. Ciocia Marysia, najmłodsza siostra Tatusia, nauczycielka, ze swoim mężem Kazikiem oraz synami Rysiem i Andrzejem przyjeżdżała zawsze na 2 miesiące wakacji do Limanowej. Ciocia Stenia najpierw z synem Zbysiem, a po śmierci Zbysia

tylko z wujkiem Januszem – mężem również spędzali wakacje u nas. Nasza Mamusia cieszyła się każdym gościem. Chociaż finansowo było ciężko to przeżyć, wiedziała jednak, że Józik się cieszy, że rodzina jest razem, to i ona się cieszyła i w nas zaszczepiła tę radość, że możemy gościom coś z siebie dać. Nasza Mamusia miała 5-cioro rodzeństwa: Stasia, Hanię, Józię, Anielcię i Weroncię. Wszystkie ciocie i wujek tacy, że do rany przyłóż. Najbardziej kochaliśmy Ciocię Weroncię, która przejmowała się i kochała wszystkie dzieci w rodzinie jednakowo. Teraz, po śmierci naszej Mamusi, została tylko ciocia Anielcia, do której przyglęłam z całą serdecznością.

Kiedy miałam 6 lat, zmarł mąż cioci Stefy, wujek Janusz Dunał, skrzypek Konserwatorium Opolskiego. Ciocia poczuła się bardzo samotna. Będąc w wakacje jak zwykle w Limanowej, poprosiła moich Rodziców, żeby pozwolili mi jechać do niej na pół roku. Mój Tatuś Józiu (1910-1989) i Mamusia Gienia (1928-2015), z ciężkim sercem, ale zgodzili się, ponieważ Ciocia Stenia była moją Matką Chrzestną i chcieli Jej pomóc, żeby nie była taka samotna. Poza tym wiedzieli, że Ciocia będzie się mną na pewno dobrze opiekowała. Z drugiej strony wiedzieli, że będą bardzo tęskniła za nimi, rodzeństwem i swoją Limanową...

Wyjechałyśmy pewnego sierpniowego poranka pociągiem z Limanowej do Chabówki, stamtąd do Krakowa i przez Częstochowę, gdzie po drodze przez okno wagonu po raz pierwszy zobaczyłam w oddali monumentalny Klasztor Jasnogórski; dotarliśmy do Brzegu nad Odrą w woj. opolskim, gdzie ciocia mieszkała przy ul. Armii Czerwonej nr 17. Cieszyłam się, że podróż przebiegła spokojnie, ale wszystko było tu dla mnie nowe i obce. Ciocia bardzo starała się, żebym się u niej dobrze czuła. Ja jednak bardzo tęskniłam za domem, Rodzicami, Rodzeństwem i piękną Limanową. Jaką rekompensatą i ulgą w znoszeniu rozłąki była nauka gry na fortepianie, ponieważ ciocia była nauczycielem muzyki i uczyła gry na fortepianie i akordeonie. Po kilku (udzielonych mi) lekcjach Ciocia stwierdziła, że mogę dać koncert w DPS (Domu Pogodnej Starości), czyli popularnie mówiąc, w Domu Starców. Przygotowała ze mną odpowiedni program, między innymi grałam popularną piosenkę patriotyczną: *Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę*. Koncert podobał się i mogę powiedzieć, że mój debiut artystyczny uznać można za udany. Byłam żywą reklamą umiejętności pedagogicznych i dydaktycznych Cioci Steni. Muszę także dodać, że dośyć regularnie uczyłam się gry na fortepianie pod fachowym okiem Cioci, tak że po roku pobytu u Niej, miałam już przygotowany spory repertuar uczniowski, większy niż uczniowie po skończonej pierwszej klasie w Szkole Muzycznej (no, ale miałam tylko to na uwadze).

Nasz (mój i Cioci) dzień powszedni wyglądał następująco. Po rannej toalecie i śniadaniu szłyśmy na zakupy. Ciocia dbała m.in. także o to, abym była samodzielna, dlatego też od czasu do czasu posyłała mnie samą do najbliższego sklepu spożywczego po drobne zakupy (bułki, cukier, masło, ser). Po większe zakupy szłyśmy razem. Przed obiadem dawała mi lekcję gry na fortepianie. Po obiedzie, który był w godzinach późnych, popołudniowych, miałyśmy odpoczynek, czasem w ramach odpoczynku ciocia stawiała pasjanse, a czasem opowiadała mi ciekawe historyjki, niekiedy także ze swego bogatego limanowskiego, krakowskiego i brzeskiego (za-chodniego) życia.

W niedzielę, po śniadaniu szłyśmy do kościoła, który był w pobliżu, po drugiej stronie ulicy. Po nabożeństwie udawałyśmy się zazwyczaj na długi niedzielny spacer, który odbywałyśmy w pięknym Miejskim Parku Brzeskim, bogatym w starodrzew. Nierzadko szłyśmy także na cmentarz, by pomodlić się nad grobem najbliższych: mojego kuzyna Zbysia i wujka Janusza – męża cioci, który był wybitnym skrzypkiem, profesorem w Konserwatorium Opolskim. Nie omieszkałyśmy zaglądnąć czasem też do piastowskiego uroczego Zamku Brzeskiego, najpiękniejszego zamku polskiego po Wawelu. Po powrocie do domu Ciocia przygotowywała obiad i zasiadałyśmy do długiego niedzielnego biesiadowania. Ciocia troszczyła się o mój wygląd do tego stopnia, że sama szła mi sukienki z pięknych, nowych materiałów, a gdy nie można było dostać nowych – z materiałów wtórnych (miała duże zdolności manualne, widocznie odziedziczyła je po swym ojcu Szymonie, rzeźbiarzu, a fachu krawieckiego nauczyła się od swojej siostry Julii, która była mistrzem krawieckim, u której w okresie międzywojennym i po wojnie terminowały niemal wszystkie limanowskie krawcowe (między innymi moja ciocia Aniela Sułkowska⁶, obdarzona największym talentem). Po półrocznym pobycie u Cioci, a było to około Bożego Narodzenia przyjechał do mnie Tatuś, by mnie zabrać do Limanowej zgodnie z wcześniejszą umową. Ciocia jednak ubłagała go, bym pozostała jeszcze do wakacji. Ja i Tatuś byliśmy niepokieszeni, niezadowoleni z obrotu sprawy, zadowolona była jednak Ciocia, że udało się jej ubłagać brata, bym pozostała jeszcze na następne pół roku. Tatuś nie chciał sprawić przykrości siostrze na Boże Narodzenie i przedłużył mój pobyt w Brzegu... Przed wyjazdem, by nie smutek a radość dominowała i jej stało się zadość, kupił nam dwie chinki (jedną dla córki, drugą dla siostry), pięć kg pomarańczy, szynkę, mięso i naturalnie to wszystko, co było potrzebne, by godnie przygotować i spędzić święta Bożego Narodzenia (a wiemy, jak trudno było wówczas o to wszystko, co zdobył). Czas szybko mijał; następne pół roku minęło jak z bicza trzasknął i w lipcu 1968 r. przyjechałam z Ciocią do utęsknionego, rodzinnego domu, Rodziców, Rodzeństwa i pięknego zmieniającego się powoli miasta. Gdy dojeżdżałyśmy pociągiem do Limanowej, Ciocia otworzyła szeroko okno w wagonie, abyśmy mogły rozkoszować się i chłonąć oczami, uszami nie widziane od roku strony rodzinne i pełną piersią zażywać świeżego powietrza. Zaraz zauważyłyśmy, że na ulicy (dzisiejszej Żuławskiego) zgromadziło się całe moje Rodzeństwo, które witało nas serdecznie, wymachując radośnie rękami. Rodzice wyszli po nas na stację, by nas odebrać i przywieźć do domu. Radości i opowiadaniom nie było końca. Cieszyli się rodzice, cieszyło się rodzeństwo, cieszyła się Ciocia, że znów jest pośród swoich i cieszyłam się również ja, że znów jesteśmy – jak przed rokiem – razem. Gdy Ciocia zapytała, czy Alusia zmieniła się przez ten rok, wszyscy powiedzieli: „Tak, bo ma jak Ciocia kapelus na głowie...”

Lata 1968-1976 Szkoła Podstawowa nr 2 i Szkoła Muzyczna I stopnia w Limanowej

Po przyjeździe od cioci Stefy przeżywałam piękne wspólne wakacje z Rodzicami i Rodzeństwem. Beztróskie życie wieku przedszkolnego dobiegało jednak końca. Zbliżały się obowiązki – rozpoczynała się nauka w pierwszej klasie Szkoły Podstawowej ►

► nr 2 (niegdyś nr 3) w Limanowej. Wychowawczynią naszej klasy (od 1 do 4) była pani Maria Czajowa. Była to nauczycielka z powołania, z ogromną dobrocią i czułym sercem. Darzyła mnie szczególną sympatią. Matematyki uczył naszą klasę wieloletni dyrektor szkoły – pan Władysław Mężyk. Tenże nauczyciel doceniał lotność mojego umysłu najwyżej spośród uczennic i uczniów naszej klasy. Kiedy byłam w 5-tej klasie dyrektorem naszej szkoły został pan Władysław Oleksy – biolog. Był bardzo zdecydowanym i zorganizowanym człowiekiem i dyrektorem szkoły, jednak w kontaktach międzyludzkich był delikatny i wyrozumiały. Np. pewnego razu nasz kolega zrobił jakąś bzdurę, pan dyrektor Oleksy nie pokrzychał go. Powiedział mu tylko cicho na ucho, że na drugi raz powinien zachować się inaczej i tyle. To coś niebywałego. Chciałabym tutaj z największym szacunkiem wyróżnić żonę pana dyrektora, panią Elżbietę Oleksy, utalentowaną nauczycielkę matematyki, która świeciła dla nas wszelkim przykładem.

W szkole lubiłam bardzo wszystkie przedmioty, oprócz wychowania fizycznego, do którego nie miałam żadnego usposobienia ani talentu. Ale pan Wojciech Wojtas, który uczył naszą klasę wf-u, był bardzo wyrozumiały i nawet trochę pobłażający. To dodawało mi otuchy. Od 5-tej klasy zaczęły się również lekcje języka rosyjskiego, prowadziła je w naszej klasie pani Krystyna Piszczowa – nauczycielka o dużej wiedzy fachowej i wielkiej fantazji. Kiedyś powiedziała do mnie i mojej najlepszej koleżanki ze szkoły podstawowej – Aldony Kucharskiej: Ala powinna zostać aktorką lub śpiewaczką, Aldona – pisarką. I tak się też stało. Ja zostałam śpiewaczką operową, Aldona dziennikarką. Kiedyś również w piątej klasie zdarzyła się rzecz następująca. Otóż jeden z kolegów, który mnie bardzo lubił (i chyba się we mnie podkochiwał, ale bez wzajemności), namalował na zajęciach plastycznych mój portret, na którym wyglądałam jeszcze gorzej niż czarownica. Przyszedł do mnie i pokazując swą „owocną twórczość”, powiedział: *To twój portret*. Wtenczas mnie tak ogromnie zdenerwował, że ze złości w sekundzie potargałam tę jego pracę. Czesiek poszedł natychmiast do pani Marii Stanikowej, nauczycielki rysunku i poskarżył się. Ona też, niewiele myśląc, dała mi najgorszą ocenę z tego przedmiotu. W klasie zawrzało jak w ulu. Jedni byli przerażeni, inni cieszyli się, że ja – najlepsza uczennica – dostałam dwójkę. A pani Stanikowa w obliczu tak daleko posuniętej i zaistniałej sytuacji powiedziała mi tak: *To nieważne, czy ten portret Ci się podoba, czy nie, ale to jest jego twórczość i nie powinnaś go niszczyć* (może to racja, a może i nie...).

Równoległe ze szkołą podstawową uczęszczałam do Szkoły Muzycznej I stopnia w Limanowej. Chodziłam do tej samej klasy z moją najbliższą sąsiadką, najlepszą koleżanką i najukochańszą przyjaciółką Sonią Dyczek⁷. Chodziłam z Nią razem na zajęcia kształcenia słuchu, umuzykalnienie i rytmikę. Lekcje rytmiki prowadziła pani Małgorzata Pudełko, bardzo utalentowana i pełna humoru osoba. Poślubiając pana Tadeusza Mordarskiego, związała się sakramentem ze słynnym rodem Mordarskich z Limanowej; późniejsza moja nauczycielka historii muzyki pani Maria Mordarska, siostra Pani Jadwigi, Danuty, Tadeusza i Mieczysława, pierwsza wykryła u mnie talent do śpiewu i wysłała mnie na konkurs wokalny do Nowego Sącza, gdzie zdobyłam III nagrodę. Chciałabym tutaj wyrazić mój zachwyt dla całego rodu Mordarskich, który przyczynił się bardzo do rozwoju muzyki i kultury w Limanowej.



Alicja Łuka jako Carmen.

Głównym przedmiotem muzycznym Soni i moim był fortepian. Moją nauczycielką fortepianu była pani Aleksandra Zielińska-Palkowa. Sonia miała lekcje fortepianu u pani Janiny Kurek-Haręzgowej. Zawsze szliśmy razem do szkoły muzycznej i razem wracałyśmy ze szkoły muzycznej. To było nie tylko dla nas korzystne, ale również dla naszych rodziców. Na przykład, gdy padał deszcz lub gęsty śnieg Pani Doktorowa Maria Dyczkowa zamawiała dla nas taksówkę, co było dla mnie szczególnym luksusem, gdyż moich rodziców nie było na to stać. Z Sonią rozumiałyśmy się bez słów, również z Jej siostrzyczką Renią⁸, chociaż jest od nas dużo młodsza, ale gdy tylko mogła powiedzieć Sonia i Ala to już wiedziałyśmy, o co chodzi. I rozumiałyśmy się doskonale. Chciałabym tutaj podziękować Pani Doktorowej Marii Dyczek, Soni i Reni a także niezapomnianemu śp. panu Stanisławowi Dyczkowi – „legendzie stomatologii” za przyjaźń oraz za to, że moje zęby pozostały do dziś w dobrym stanie.

W szkole podstawowej od 5 do 8 klasy zmieniałyśmy z Aldoną Kucharską co roku oddział (A lub B), ze względu na to, że musiałyśmy swój harmonogram dostosować do zajęć w szkole muzycznej. Wychowawczynią jednego oddziału była wspomniana już wyżej pani Maria Stanikowa, drugiego – pani Rozalia Sułkowska. Były to nauczycielki o bardzo dobrym profilu pedagogicznym. Nie ukrywały tego, że obu Paniom zależało na tym, abyśmy obie były w ich klasie. Nasze wychowawczynie korzystały z naszych umiejętności muzycznych i „zatrudniały” nas na akademiach szkolnych, różnych rocznicach, wieczornicach i jeszcze innych uroczystościach. Aldona często recytowała wiersze, ja zaś grałam

akompaniamenty do pieśni i piosenek. Przypominam sobie konkurs chórów szkolnych, który odbywał się w limanowskim kinie „Sojusz”. W tym konkursie chór naszej szkoły (nr 2) zajął 1. miejsce spośród wszystkich chórów w powiecie limanowskim. Dyrygentką chóru była wówczas niedościgniona pani Barbara Piętowa.

W 7. klasie weszły nowe przedmioty: fizyka i chemia. Wykładała je pani Alina Kapturkiewiczowa, bardzo ostra i wymagająca, ale znająca też nieprzeciętnie swój fach nauczycielka. W 7 i 8 klasie brałam udział w dwóch olimpiadach: olimpiadzie wiedzy biologicznej i polonistycznej. W obu olimpiadach już w 7 klasie zajęłam pierwsze miejsce w powiecie, co upoważniło mnie do wstępu (po 8 klasie) do liceum bez egzaminu.

Bardzo ceniłam sobie lekcje religii z ks. Feliksem Górką, który przygotowywał mnie do I Komunii Św., z ks. Ryszardem Stasikiem oraz z ks. (obecnie) prałatem Janem Bukowcem, który przygotował mnie do sakramentu bierzmowania. Dyrektorzy szkół po ukończeniu Szkoły Podstawowej nr 2 w Limanowej i Szkoły Muzycznej I Stopnia, wychowawczynie i nauczyciele podkreślali moje zaangażowanie w uczniowską pomoc koleżeńską, którą może poświadczyć niejedna z moich koleżanek i niejedna z moich szkolnych kolegów: Szczególnie ciepło wspominam Jarka Kitę – dobrego kolegę i bliskiego sąsiada, Jarka Kucharskiego – brata Aldony, Jagę Stożek, Stefana Wronę i Stefana Sołtysa a także Marka Czachurskiego.

W wieku 15 lat opuściłam dom rodzinny i swoje rodzinne miasto Limanową. Rozpoczął się mój 9-letni pobyt w Krakowie (4-lata nauki w LO i 5 lat studiów na Akademii Muzycznej w Krakowie). Te wydarzenia znajdują swój oddźwięk w kolejnej części moich wspomnień.

^{1.} Obecnie Danuta Lebda z domu Wrona, prof. jęz. rosyjskiego w liceum; wychowała 50. zwycięzców olimpiady jęz. rosyjskiego; tłumacz przysięgły.

^{2.} Helena Wiesława Wrona-Polańska, obecnie prof. psychologii klinicznej na UP w Krakowie, autorka wielu publikacji i książek

^{3.} Józef Szymon Wroński, germanista, historyk sztuki (UJ), znawca architektury i badacz przeszłości Limanowej, publicysta, autor wielu książek w tej dziedzinie, również o charakterze encyklopedycznym, nauczyciel akademicki na UPJP II w Krakowie, tłumacz literatury fachowej na j. niemiecki i v.v.

^{4.} Zbigniew Kazimierz Wrona – geodeta, poeta, librecista, autor libretta do Oratorium „Droga do Ciebie”.

^{5.} Winicjusz Marian Wrona – uznany i cieszący się dużą renomą radca prawny.

^{6.} A. Sułkowska, późniejsza wieloletnia kierowniczka szwalni w szpitalu powiatowym w Limanowej. Mistrz krawiectwa męskiego i damskiego w zakresie konfekcji lekkiej i ciężkiej. Dyplom uzyskała w Krakowskim Kuratorium Oświaty i Szkolnictwa.

^{7.} Sonia Dyczek, dr medycyny i diagnostyk; otrzymała dwa medale; 1. Prezydenta Miasta Krakowa, 2. Ministra.

^{8.} Renata Dyczek, mgr farmacji z I stopniem specjalizacji, wieloletni kierownik apteki.

Alicja Łuka

Fotografie: arch. Alicji Łuka

Przemysław Bukowiec

Ostatni lot nad Mogielicą

73 lata temu, 28 stycznia 1944 roku na zboczach Mogielicy, doszło do katastrofy lotniczej niemieckiego samolotu Heinkel 111 H11 (G1+NS). Przez lata wokół tej historii narosło sporo legend, które współcześnie, w znacznej części, dzięki różnym materiałom źródłowym udało się zweryfikować.

Początek roku 1944r. zwiastował zmiany na frontach II wojny światowej. III Rzesza Niemiecka pod wpływem ponoszonych klęsk na froncie wschodnim stała wobec zagrożenia rychłego otwarcia drugiego frontu przez aliantów zachodnich. Z dala od teatru zmagania wojennych, na ziemiach polskich, zamienionych przez okupanta w Generalne Gubernatorstwo, tliła się nadzieja na odzyskanie niepodległości. Jednym z ośrodków działalności konspiracji wojskowej były Góry Wyspowe (było to jedno z określeń obecnego Beskidu Wyspowego). Żołnierze Armii Krajowej, podejmując walkę w konspiracji, tworzyli oddziały partyzanckie, przeprowadzano szkolenia z zakresu musztry i obsługi broni, kursy dla podchorążych. Wszystko po to, by przygotować się do ogólnonarodowego powstania zbrojnego.



Szczątki samolotu Heinkel He-111 w korycie potoku Bystroń. Fot. ze zbiorów J. Krzewickiego

► Ów styczniowy dzień

Był piątek 28 stycznia 1944 r. Według relacji jednego z naocznych świadków wydarzenia, syna miejscowego gazdy, tego dnia wśród głuchej ciszy, zimowej, mroźnej aury, pojawił się szary punkt na niebie. Zbliżał się powoli w kierunku zaśnieżonego masywu Mogielicy, najwyższego szczytu Gór Wyspowych. Samolot zdawał się być prawie niewidzialny, gdyby nie warkot motorów silnika oraz czarny warkocz dymu, wydobywającego się z uszkodzonego samolotu. Wszystko to trwało kilka chwil. Samolot gwałtownie obniżył lot i runął w las, jak się okazało w koryto potoku Bystron. Wśród starszych mieszkańców Słopnic zapewne i obecnie znalazłoby się wielu, którzy pamiętają, choćby z przekazów ustnych, wydarzenie z tamtego dnia. Katastrofie lotniczej uległ niemiecki bombowiec Heinkel He-111 H11 G1+NS, jak się później okazało przeznaczony do celów szkoleniowych. Wraz z nim poległa pięcioosobowa załoga porucznika Alfreda Gutschmidta z ósmej eskadry pułku bombowego KG 55. W skład załogi wchodził: pilot – dowódca: *Lt. Alfred Gutschmidt*, obserwator – bombardier: *Uff. Horst Zogesiter*, radiooperator – strzelec: *Uffz. Karl Meinert*, mechanik pokładowy - strzelec: *Ogfr. Heinrich Kohls*, strzelec: *Uff. Heinrich Müller*. Wszyscy polegli zostali pochowani na cmentarzu wojskowym w Krakowie. Co mogło być przyczyną katastrofy w czasie feralnego lotu? Warunki atmosferyczne? Błąd pilota czy awaria? Jedną z hipotez postawionych po latach było oblodzenie płatu w wyniku awarii systemu przeciwołodziennego. Warto nadmienić, że *samoloty KG 55 stacjonowały w tym czasie na lotnisku w Dęblinie. Ich załogi szkoliły się do bombardowań z małej wysokości. Jednym słowem, była to elitarna jednostka, która miała za sobą walki w Polsce, bitwie o Anglię i na froncie wschodnim*¹.

Krajobraz po katastrofie

Tego samego dnia, na miejsce zdarzenia przybyła żandarmeria niemiecka z Limanowej. Od razu rozpoczęto przymusowe organizowanie miejscowej ludności z zaprzęgami, spośród mieszkańców Słopnic, w celu przetransportowania pozostałości po rozbitym samolocie. Niemcy, po dotarciu do wraku spostrzegli, że częściowo została wymontowana broń i inne elementy wyposażenia. Ślady na śniegu wskazywały, że Niemcy nie byli pierwsi przy samolocie. W ciągu kilku dni na miejsce przybyła specjalna komisja wojskowa z Krakowa, której celem było ustalenie przyczyn katastrofy. W związku z przybyciem komisji do Słopnic, wśród miejscowej ludności doszło do spekulacji, że w samolocie zginęło kilku ważnych oficerów, wyższych rangą. Z czasem pojawiały się też opowieści o tym, że jedną z ofiar katastrofy była kobieta. Mówiono też o tym, że jednemu z pasażerów udało się uratować, lądując na spadochronie pośród lasów Mogielicy, następnie został zlikwidowany przez miejscowych partyzantów. Faktem była jednak wzmożona czujność okupanta poprzez zwrócenie uwagi na okoliczne osiedla i ich mieszkańców, którzy mogli wiedzieć więcej na temat działalności partyzantów.

Feralny podarunek

W czasie organizowania transportu zwłok załogi niemieckiego samolotu, do pracy został zmuszony m.in. Walenty Makowski. Rodzina Makowskich mieszkała w Słopnicach od 1940 r., kiedy została przesiedlona wraz z innymi z 3 000



Żołnierze Obwodu AK Limanowa w czasie oględzin miejsca katastrofy samolotu Heinkel He-111 na Mogielicy w 1944 r. Od lewej: kpt. Julian Krzewicki „Filip”, ppor. Władysław Kukła „Zagoszcz”, por. Stefan Jedliński „Bartek”, por. Józef Kolarczyk „Orka”. Fot. ze zbiorów J. Krzewickiego.

mieszkańców Wielkopolski na obszar Beskidu Wyspowego. Makowscy zamieszkiwali w jednym z pożydowskich budynków wraz z rodziną Kowalczyków. Za swoją pracę przy wraku niemieckiego bombowca, jeden z niemieckich oficerów podarował Walentemu Makowskiemu wojskowe buty, które jak się później okazało stały się przyczyną tragedii. Ponad pół roku później, 5 sierpnia ok. godz. 14⁰⁰, niemiecka żandarmeria przybyła do Słopnic, organizując obławę w rejonie osiedla Putówka. Szereg obław był związany ze wzmożoną działalnością partyzancką żołnierzy Armii Krajowej w ramach akcji „Burza”. Kilka dni wcześniej żołnierze placówki AK „Kuznia”, Kamienica-Słopnice oraz Oddziału Partyzanckiego „Wilk”, wzięli udział w skutecznym zdobyciu i rozbrojeniu posterunku policji i żandarmerii w Kamienicy. Niemieckie śledztwo, zataczało coraz szersze kręgi, którego ślady prowadziły do Słopnic. 5 sierpnia niemiecka żandarmeria przeprowadziła obławę, której ofiarami stała się rodzina Makowskich. Niemcy w trakcie rewizji w domu Makowskich odnaleźli wojskowe buty. Walentemu Makowskiemu zarzucono, że należy do bandytów i po katastrofie samolotu niemieckiego samowolnie przywłaszczył sobie buty, za co powinien ponieść surową karę. Według relacji, Niemcy starali się zmusić Makowskiego, do wyjawienia informacji na temat działalności partyzantów, terroryzując bronią jego żonę Mariannę. (Ostatecznie okazało się, że Walenty Makowski nie należał do żadnej org. konspiracyjnej). Wobec beznadziejnej sytuacji, oskarżony próbował się ratować ucieczką, wyskakując przez okno. Jednak postrzelony w nogi, został zatrzymany. W tym samym czasie Niemcy postrzelili Mariannę Makowską. Na próżno Walenty, błagał o darowanie życia jego żonie i jemu samemu i o doktora. *Opracownicy polecili mu położyć się na łóżku, na drugie łóżko rzucili ranną Mariannę mówiąc, że posła*



Ppor. Władysław Kukła „Zagoszcz” na tle szczątków Heinkla He-111. Fot. ze zbiorów J. Krzewickiego.

po lekarza. Potem zwrócili się do rodziny Kowalczyków, aby natychmiast wyprowadzili się z mieszkania, bo będą palić dom. Zrozpaczeni Makowscy błagali o litość, powołując się na trójkę dzieci, które w tej tragicznej chwili były u sąsiadów [...] Kiedy rodzina Kowalczyków opuściła mieszkanie, zbiry na rannych rzucili lawę, krzesła i podpaliли sienniki. Buchnął płomień, wśród kłębow dymu słychać było rozpaczliwe krzyki rannych². W konsekwencji niemieckiej oblawy najstarsza córka Makowskich, wówczas 16-letnia Helena, została przymusowo wysłana na roboty do Rzeszy. Dwoma synami w wieku 10-14 lat zaopiekowały się: Katarzyna Banach, Anna Podgórna i jej córka Anna Baca z osiedla Chałpki.

Relacje na temat katastrofy

Jak katastrofę odnotowano w kilku lokalnych źródłach? W kronice Szkoły Powszechnej nr 2 w Słopnicach, odnotowano wówczas taką wzmiankę: [Pisownia oryginalna] *W dniu 27 stycznia 1944 r, wydarzyła się na górze Mogielicy, w lasach, katastrofa lotnicza w której znalazło śmierć pięciu żołnierzy*³.

Według relacji, partyzanci z patrolu „Sępa” ppor. Jana Boguckiego z placówki AK „Trzos” Tymbark, na miejscu katastrofy byli jako pierwsi. Po oględzinach wymontowali broń w postaci karabinów maszynowych, które można było jeszcze zreperować. Pośpiesznie zabrano te elementy, które uznano za przydatne. Ówczesny Szef Inspektoratu Nowosądeckiego Armii Krajowej w jednym z raportów tak opisał wydarzenie [pisownia oryginalna]: *Dnia 28.I br. W m Zalesie-góra Mogielica, spadł samolot niemiecki rozbijając się na drobne części. Zbiorniki z benzyną zapaliły się i 5 ludzi załogi poniosło śmierć w płomieniach-szósty zawisł na spadochronie na drzewach ale też nie żył. W tamtym czasie przechodził obok nasz patrol „Sęp”. Zabrano z samolotu dwa karabiny maszyn. – dwulufowy i jedno lufowy. Pierwszy w stanie uszkodzonym,*

*300 sztuk amunicji, 2 spadochrony i taśmy karabinów. Po wypadku i stwierdzeniu, że brak jest karabinów, przeprowadzono w okolicach silną rewizję i obserwację dróg bez rezultatu. Załączam metrykę samolotu*⁴.

Wczesną wiosną 1944 r. w rejon miejsca katastrofy udało się kilka partyzanckich patroli w celu oględzin miejsca po katastrofie. Jednymi z pierwszych byli: Jan Szewczyk „Hans” oraz Tadeusz Czech „Wicek”, żołnierze AK z oddziału egzekutywy, zajmujący się wykonywaniem wyroków na osobach kolaborujących na rzecz okupanta. „Hans” i „Wicek” przybyli w rejon katastrofy samolotu w towarzystwie Józefa Kurnyty, z osiedla Groń, gdzie czasowo kwaterował Oddział Partyzancki „Wilk”. W swoich wspomnieniach Tadeusz Czech tak odnotował tę nietypową wyprawę: *Pewnego pięknego wiosennego przedpołudnia z ciekawości ruszyliśmy w masyw Mogielicy. Prowadził Kurnyta. Obiecał doprowadzić nas do miejsca katastrofy niemieckiego samolotu, którą oglądaliśmy jesienią z Popowa [autor relacji pomylił inną katastrofę lotniczą z wydarzeniem z Mogielicy – przyp. P.B.] Stanęliśmy wreszcie nad potokiem na ogromnym pniu ściętego buka, o który rozbiła się kabina pilotów. Ich droga do śmierci była widoczna wyraźnie w lesie. Szeroki na kilkanaście metrów pas lasu ścinanych przez obniżający swój lot dwusilnikowy samolot, od czubków drzew – świerków i jodeł, do coraz niższych części drzew, aż prawie do dna potoku. Zharatane gałęzie i poćcinane u podstawy drzewa leżały na ziemi jakby ścięte ogromną kosą. Podobno strzępy ciał wisiaty na pobliskich drzewach... rozniósł je wybuch. Teraz leżał tylko stos pogiętych blach, aluminiowych rur, kolorowych przewodów, rozbitych szyb pleksiglasu z kabin. Zaryte w ziemię silniki leżały daleko od miejsca zderzenia*⁵. Według wielu relacji i wzmianek, blachy z poszycia samolotu i inne części były wykorzystywane przez miejscową ludność już w 1944 r. M.in. Kurnyta z Gronia robił mienajki i garnki dla żołnierzy AK goszczących w jego domu.

Początek badań

Po kilkudziesięciu latach od wydarzeń spod Mogielicy rozpoczęto stopniowo badanie okoliczności wydarzeń katastrofy. Pierwsze oględziny szczątków katastrofy miały miejsce w 1986 roku, były prowadzone przez dra inż. Krzysztofa Wielgusa wraz z grupą studentów wydziału Architektury Krajobrazu Politechniki Krakowskiej. Ówczesne prace doprowadziły do ustalenia miejsca katastrofy w dolinie potoku Bystron.

Po wstępnym przeanalizowaniu zdjęć i niewielkiej ilości fragmentów wraku, nie ustalono ze stuprocentową pewnością typu samolotu, ograniczając się do stwierdzenia, że był to dwusilnikowy samolot niemiecki. Wyniki badań konsultowano z Muzeum Lotnictwa w Krakowie oraz muzeum RAF w Hendon. Zostały one opublikowane w formie notatki w książce pod redakcją Krzysztofa Wielgusa i Roberta Panka pt. *Liberator w Gorcach* (Dębica 2001, str. 15-16). Po tej publikacji w badaniach wrakowiska nastąpiła przerwa trwająca aż do początku marca 2008 roku. Wtedy dwaj miłośnicy lotnictwa, zachęceni przez inicjatora wcześniejszych prac dra inż. Krzysztofa Wielgusa: Tomasz Jastrzębski oraz Dominik Synowiec, postanowili jeszcze raz zmierzyć się z tajemnicą samolotu z Mogielicy. W latach 2008-2009 udało się ostatecznie zbadać oraz ustalić szczegóły związane z katastrofą Heinkla. Identyfikacja wraku samolotu była prowadzona



Zegar z Heinkla He-111, który otrzymał od partyzantów Roman Kronenberger. Fot. ze zbiorów Romana Dziadonia.



Tabliczka znamionowa odnaleziona w czasie wyprawy badawczej w 2008 r. Fot. ze zbiorów Tomasza Jastrzębskiego.

► przez członków grup badawczych: Polskiego Towarzystwa Historycznego Oddział w Nowym Targu oraz Aircraft Missing In Action Project z Krakowa w składzie: Krzysztof Wielgus, Tomasz Jastrzębski, Dominik Synowiec, Mateusz Jastrzębski, Paweł Gądek, Zbigniew Hajduk, Dawid Golik, Paweł Piątek, Szymon Serwatka. Szczególnej pomocy w ustaleniu informacji związanych z katastrofą udzielił Pan Stanisław Florek ze Słopnic. Wówczas w czasie jednej z wypraw badawczych znaleziono tabliczkę znamionową, dzięki której ostatecznie udało się ustalić rodzaj maszyny. Już pierwsze prace terenowe w 2008 roku doprowadziły do pozyskania sporej liczby artefaktów związanych z rozbitą maszyną. Wśród nich znalazł się element, który pozwolił na jednoznaczną identyfikację wraku. Była to tabliczka znamionowa jednego z elementów płatowca z sygnaturą modelu He 111. Po tym znalezisku i odnalezieniu dużej ilości fragmentów, dodatkowo potwierdzających typ maszyny, oraz określeniu zasięgu miejsca katastrofy, prace terenowe zostały zakończone.

Rozpoczęła się część badań zmierzająca do określenia daty wypadku, przynależności maszyny, a tym samym do zidentyfikowania ofiar tej katastrofy. Dawid Golik, badający historię działalności partyzanckiej na Podhalu, w Gorcach i Beskidach, odnalazł w archiwum Muzeum Historycznego Miasta Krakowa raport Szefa Inspektoratu AK Nowy Sącz, Stanisława Mireckiego „Pociej”, dotyczący katastrofy lotniczej na Mogielicy, lokując go w czasie. Wówczas okazało się że katastrofa miała miejsce 28 stycznia 1944 roku. Ten dokument pomógł w odnalezieniu i identyfikacji jednostki i załogi samolotu. Identyfikacja zaś udała się dzięki Szymonowi Serwatce, członkowi stowarzyszenia AMIAP, autorowi publikacji i książek związanych z historią operacji lotniczych nad Polską w czasie II wojny światowej. Zainteresował tematem niemieckich badaczy historii lotnictwa i wkrótce, dzięki informacji Pana Ulfa Podbielskiego z Niemiec, uzyskano cenne informacje uzupełniające historię zdarzenia.

Dzięki omówionym wyżej działaniom można było jednoznacznie stwierdzić, że o południowo-wschodnie zbocze Mogielicy w miejscowości Słopnice rozbił się dnia 28 stycznia 1944 samolot Heinkel He 111 H, oznaczenie taktyczne G1+NS, z 8. eskadry (Staffel) Kampfgeschwader 55, numer seryjny maszyny nieznanymi. Samolot wykonywał lot ćwiczebny.

Informacje te odnalazł Ulf Podbielski w monografii pułku autorstwa A. Dietricha pt. *Kampfgeschwader 55 „Greif”*. Wszyscy lotnicy zostali pochowani w kwaterze niemieckiej Cmentarza Wojskowego w Krakowie przy ul. Prandoty.

We wrześniu 2014 r. staraniem Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznych 1. psp AK, Gminy Słopnice oraz Nadleśnictwa Limanowa, nad miejscem katastrofy lotniczej umieszczono tablicę pamiątkową wraz ze zdjęciami i opisem przebiegu wydarzeń. Tablica jest integralną częścią Ścieżki historyczno-edukacyjnej 1. psp AK im. kpt. Juliana Krzewickiego, prowadzonej po północno-wschodnich zboczach masywu Mogielicy. Od tamtej pory z koryta potoku Bystronów wydobyto kilkadziesiąt części z niemieckiego samolotu. Do dzisiaj wiele z nich można spotkać w obejściach niektórych gospodarstw, gdzie nadal wykorzystuje się je jako uchwyty, kłapy czy kołowrotki w życiu codziennym.

Obecnie, kolekcję zakonserwowanych elementów Heinkla z potoku Bystronów wraz z opisem, można podziwiać w Ośrodku Ekspozycyjnym Małopolskiego Szlaku Historii Lotnictwa – Wystawa tematyczna – *Lotnicze ślady na Ziemi Myślenickiej* w schronisku PTTK na Kudłaczach w Pcimiu. W Wiejskim Ośrodku Kultury w Ochotnicy Górnej w Izbie Pamięci – *Lotnicze Ślady w Karpatach* znajduje się fragment gaźnika z Heinkla rozbitego w Słopnicach. Pozostałe drobne części z samolotu, przekazane przez Pana Stanisława Floraka, zostały wyeksponowane w gablocie w sali historycznej Gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Słopnicach. Innym ciekawym eksponatem jest zegar z rozbitego Heinkla, który otrzymał od partyzantów Roman Kronenberger, który w czasie okupacji jeździł samochodem dostawczym w „Owocarni” w Tymbarku. Brał udział m.in. w transporcie cukru i marmolady pochodzących z rekwizycji. Woził wszystko do Słopnic dla żołnierzy AK. Zegar otrzymał prawdopodobnie od nich za wykonaną pracę.

Ostatnie pamiątki

Wydawać by się mogło, że po wielu latach czego nie zatarła ludzka pamięć, to zostało przekazane w różnych wspomnieniach partyzantów i lokalnej społeczności na temat katastrofy He-111. Jednak poszukiwania przyniosły zaskakujący efekt. Syn ówczesnego komendanta Obwodu AK Limanowa kpt.

Juliana Krzewickiego, Jerzy Krzewicki, udostępnił członkom SRH 1. psp AK fotografie zrobione przez jego ojca aparatem fotograficznym w latach 1943-1945 na Ziemi Limanowskiej. Wśród wielu interesujących zdjęć znalazło się kilka zrobionych na wiosnę 1944 r., prezentujących szczątki niemieckiego bombowca z potoku Bystron. Co ciekawe odbitki tych zdjęć krążyły w środowisku partyzanckim podpisane jakoby był to rozbity lub zestrzelony niemiecki Fieseler Fi 156 „Storch”, który Niemcom służył do zadań zwiadowczych w terenie Beskidu i Gorców.

Zapewne historia Heinkla He-111 z Mogielicy będzie żyła nadal różnymi ciekawostkami i legendami, które przez lata narosły wokół całego zdarzenia. W 2016 r. minęło trzydzieści lat od początku eksploracji i badań. W tym czasie udało się odpowiedzieć na większość pytań, rozwiązując zagadkę i okoliczności katastrofy. Warto wspomnieć, że jest to tylko jedna z wielu innych interesujących historii z czasu niemieckiej okupacji na naszym terenie, które czekają na ponowne odkrycie.

Źródła:

1. Relacja i fot. ze zbiorów Romana Dziadonia;
2. W artykule wykorzystano materiały, relacje i fotografie udostępnione przez Pana Tomasza Jastrzębskiego oraz dra Piotra Sadowskiego;
3. Wykorzystano fotografie ze zbiorów Jerzego Krzewickiego.

¹ Cytowany fragment z ekspozycji lotniczej ze schroniska PTTK na Kudłaczach. Tablica: Katastrofa w Dolinie Bystronia;

² M. Król, *Słopnice – ocalić od zapomnienia*, Słopnice 2013 r., t. I., s. 196-197;

³ Fragmenty Kroniki Szkoły Powszechnej nr 2 w Słopicach;

⁴ Meldunek Inspektora Nowosądeckiego AK, Stanisława Mireckiego „Pocieja”, zbiory Muzeum Historycznego Miasta Krakowa;

⁵ Tadeusz L. Czech „Wicek” – *Tym groźniejszy, że zdecydowany zginąć*. Stary Sącz 1989 r., s. 120.

Poznawcze wartości dawnej prasy

Stanisław Ociepka

Żyjąc na peryferiach wielkich wydarzeń, niełatwo jest wniknąć w dzieje małego miasteczka. Jakie są więc formy poznawania prawd o ludziach tu mieszkających i wydarzeniach, jakie miały tutaj miejsce?

Zapewne jedną z nich jest relacja uznanych autorytetów w mieście, jak również opowiadania dziadków i rodziców. To od nich mogliśmy czerpać bogatą i interesującą wiedzę o wydarzeniach, jakie miały miejsce w Limanowej oraz w regionie zarówno w okresie galicyjskim, jak i w latach międzywojennych.

Inną formą są fotografie, niemi świadkowie tych wydarzeń, które odnalezione w zbiorach limanowian, po zgromadzeniu ich w jednym wielkim zbiorze, pozwoliły w latach 2008-2012 opracować swoistego rodzaju kronikę miasta, która wydana została w formie trzech albumów zatytułowanych „Okrucy pamięci – Limanowa na starej fotografii”.

Gorzej jest z publikacjami ukazującymi wydarzenia z dawnych lat w naszej małej Ojczyźnie. Ilość ich jest niewielka, dlatego wydanictwa autorstwa: Franciszka Bujaka, Jana Sitowskiego czy pamiętniki Antoniego Józefa Marsa, stanowią perły wiedzy o naszym mieście z okresu przełomu XIX i XX stulecia.



Dzisiaj jest inaczej. Współczesne możliwości zgłębienia wiedzy na te tematy stały się zarówno powszechne, jak i bardziej dostępne. Dzięki utworzonym bibliotekom cyfrowym, w których pojawiły się w zapisie komputerowym drukowane materiały biblioteczne, a także obszerne zbiory prasy (tzw. digitalizacja), pozwoliły nie wychodząc z domu na odnalezienie ciekawych informacji dotyczących

minionych lat w określonych środowiskach, a więc i w Limanowej.

Dokonując przeglądu dawnej prasy, można m. in. znaleźć wiele ciekawych nieznanych do tej pory wydarzeń, a także na nowo poznać szczegółowe fakty odnoszące się do wcześniej opisanych ogólnie wydarzeń, które miały miejsce w naszym mieście. Przykładem takim jest uroczystość wmurowania we

frotową ścianę budynku stacji kolejowej w Limanowej tablicy pamiątkowej poświęconej niezapomnianym bohaterom przestworzy kpt. Żwirki i inż. Wigury. Odświeżenie tablicy odbyło się 11 listopada 1934 roku, o czym pisał ówczesny miesięcznik „Kolejowego Przysposobienia Wojskowego”. To właśnie z dokonanych w bibliotekach cyfrowych kwerend artykułów w tych miesięcznikach możliwe

► było odtworzenie szerokiej działalności Limanowskiego Zarządu Ogniska Kolejowego Przystosobienia Wojskowego w latach międzywojennych.

Opracowanie kolejnego artykułu łączy się z przypadkowym odnalezieniem w Muzeum Parafialnym w Limanowej zbioru fotografii ukazujących wydawało się ważną, lecz nieznaną uroczystość w naszym mieście, która miała miejsce w latach trzydziestych ubiegłego stulecia. Ze względu na brak opisów tych zdjęć stanowiły one jedynie obrazy anonimowe, z których można było jedynie domyślać się, jaką uroczystość przedstawiają. Dopiero odnaleziony opis związany z tym świętem w miesięczniku KPW i skonfrontowanie go z odnalezionymi zdjęciami pozwoliło na odtworzenie tej doniosłej uroczystości - jak się okazało poświęcenia sztandaru limanowskiego ogniska KPW. Tak powstał artykuł przedstawiający aktywną działalność ówczesnego Kolejowego Przystosobienia Wojskowego w Limanowej z bogatym zbiorem fotografii („EL”, nr 212-213, maj-czerwiec, 2012 r.).

Warto więc jeszcze raz odsłonić kurtynę i zaglądnąć za kulisy tworzenia publikacji w oparciu o prasę przełomu XIX i XX wieku.

Dzięki wytrwałej pracy trwającej niekiedy kilka tygodni związanej z kwerendą dawnej prasy, można obecnie przygotować wiele ciekawych artykułów odnoszących się do ówczesnego życia kulturalnego w mieście, bieżących wydarzeń w tamtych czasach, które miały istotne znaczenie dla rozwoju Limanowej czy przypomnieć kataklizmy, jakie nawiedziły w minionych latach nasze miasto.

W taki właśnie sposób w ostatnich latach zostało opracowanych wiele artykułów o charakterze dokumentalnym, które ukazały się w naszym dwumiesięczniku. Zapewne są one jednym ze sposobów na wzbogacenie wiedzy o przeszłości Limanowej.

Przypomnę niektóre z nich.

„Limanowa – ośrodek aktywnej działalności gniazda Sokoła”, („EL”, nr 222 – 223, marzec – kwiecień, 2013 r.). W artykule tym ukazano tworzenie się limanowskiego gniazda „Sokoła” jednego z pierwszych w Galicji i ludzi aktywnie zaangażowanych w działalność patriotyczną. Artykuł mógł powstać poprzez kwerendę miesięczników Organu Związku Polskich Gimnastycznych Towarzystw Sokolich, który był wydawcą Przewodnika

Gimnastycznego „Sokół” we Lwowie. Były to numery: 10 i 11 z 1893 r. oraz 1 i 3 z 1895 r., a także nr 7 z 1896 r.

„Tam gdzie grzmiały armaty – 100. rocznica bitwy pod Limanową”, („EL” nr 242-243, listopad – grudzień, 2014, gdzie między innymi naoczny świadek Jan Sitowski, właściciel dworu w Mordarce, opisuje wydarzenia wojenne z grudnia 1914 r., jakie miały miejsce w Limanowej. Opisy te można było odnaleźć w liberalno – demokratycznym czasopiśmie „Nowa Reforma” wydawanym w Krakowie. Obszerne relacje z operacji limanowsko – łapanowskiej oraz bitwy limanowskiej można odnaleźć także w krakowskim tygodniku polityczno – społeczno – oświatowym „Piast” w numerach 46-52 z grudnia 1914 roku. Tygodnik ten relacjonował także wielki pożar w Limanowej w 1915 r., w którym spłonęła cała południowa pierzeja limanowskiego rynku. Opisywał on również strajki chłopskie na Ziemi Limanowskiej w latach trzydziestych ubiegłego stulecia.

Bardzo ciekawym dziennikiem wychodzącym w Krakowie był „Ilustrowany Kurier Codzienny”. W oparciu o to wydawnictwo zostały opracowane artykuły: „Limanowskie tradycje w hodowli czerwonego bydła”, „Odsłonięcie tablicy Szkoły Strzeleckiej w Stróży”, czy „Wielka woda” – artykuł korespondenta dziennika opisyującego powódź stulecia w 1934 roku w Limanowej i na terenach województwa krakowskiego.

Warto również zwrócić uwagę na krakowski dziennik informacyjno – polityczny „Czas”, w którym można odnaleźć wiele ciekawych relacji, mających miejsce w okresie międzywojennym. W tym to dzienniku m.in. opisana została wizyta prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego na Ziemi Limanowskiej.

Cieszy więc fakt, że podjęto próbę opracowania wydawnictwa ukazującego „Limanową i okolice w przedwojennej prasie”. Publikacja ta przygotowana dla celów edukacyjno – naukowych, jak pisze jej autor Janusz Guzik, do dnia dzisiejszego nie znalazła wydawcy, pozostaje więc w postaci pojedynczych egzemplarzy przekazanych do niektórych instytucji m. in. i do „Echa Limanowskiego”. Korzystanie więc z materiałów tam zawartych jest utrudnione, choć jak autor mówi można będzie odnaleźć te egzemplarze także w limanowskich bibliotekach.

O wartości zawartych tam informacji niech świadczą chociażby wybrane

artykuły, które prezentujemy poniżej, (w artykułach zachowano oryginalną pisownię).

„Wizyta Jego Cesarskiej Mości” – „Gazeta Lwowska” nr 259 z 10 listopada 1851 roku.



Franciszek Józef I

Fot. Internet

Nowy – Sącz, 4 listopada. Zapowiedziane na 1 listopada przybycie Jego Ces. Mości było we wszystkich miastach i wsiach obwodu Sandeckiego przyczyną najszczerzej radości.

W dalszej podróży witało Najj. Pana czekające przy bramie tryumfalnej w Kaninie duchowieństwo z ludem wiejskim z okolicy.

O godzinie 10tej przybywszy do Limanowa, przyjmował Najj. Pan u bramy tryumfalnej hołd dziekana miejskiego, duchowieństwa okolicy, c.k. urzędników i gminy żydowskiej.

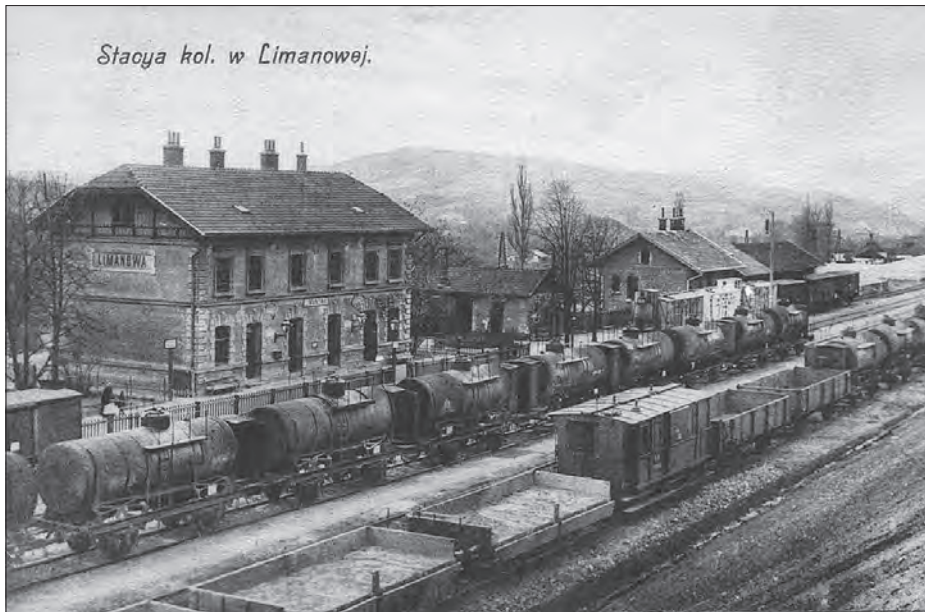
Podczas przepięgu raczył Jego Ces. Mość przyjąć najłaskawiej podane sobie pisemne prośby wieśniaków, obdarzył także jednego inwalidę datkiem pieniężnym.

O pół do dwunastej godziny przybył Jego Ces. Mość do Mszany dolnej, podłódze ustawione były bramy tryumfalne w Tymbarku, Dobry, Kasinie i Kasince, przy których duchowieństwo z gminami okrzykami radości witało przejeżdżającego Monarchę.

Na całej przestrzeni od Sącza aż do Mszany dolnej jechali świątecznie przybrani chłopci konno przed powozem Cesarskim. Po krótkim pobyciu w Mszanie dolnej, gdzie Jego Ces. Mość od włościan przybyłych z okolicy przyjął wiele prob. pisemnych, i również jednego inwalidę

dekorowanego złotym medalem hojnie obdarzyć raczył – udał się Naje. Pan ku Jordanowa w obwodzie Wadowickim. (Opisana wizyta odnosi się do cesarza Franciszka Józefa I, który panował od 2 grudnia 1848 r. do 21 listopada 1916 r. – przyp. red.).

„Rozszerzenie stacji kolejowej” – „Nowa Reforma” nr 158 z 6 kwietnia 1911 r. Kraków.



Stacja kolejowa w Limanowej. Pocztówka z 1915 roku.

Z powodu ogromnego ruchu osobowego i towarowego na stacji kolejowej w Limanowej odczuwano się od kilkunastu lat konieczną potrzebę rozszerzenia tej stacji. Obecnie, gdy ruch ten wzmógł się jeszcze z powodu transportu ropy i eksportu z tutejszej od trzech lat istniejącej rafinerii nafty, potrzebę rozszerzenia stacji kolejowej w Limanowej uznała także dyrekcja kolei państwowych i w tym celu prowadziła pertraktacje z właścicielami przyległych gruntów. W ostatnich dniach jednak wyłonił się drugi projekt dyrekcji kolejowej, aby wybudować stację kolejową w Łososinie górnej. W razie, gdyby ten projekt został przyjęty, to przez to ruch towarowy na stacji kolejowej w Limanowej zmniejszyłby się wprawdzie, jednakże jeszcze tem samem nie odpadłaby potrzeba rozszerzenia tej stacji. Wybudowaniem stacji kolejowej w Łososinie górnej wyrządzonoby tylko Limanowej ogromną krzywdę, a rząd, zamiast dążyć do podniesienia dobrobytu w miastach, doprowadziłby Limanową do ruiny. Ażeby zapowiedz zatwierdzeniu projektu budowy stacji kolejowej w Łososinie przez Ministerstwo

kolei, Rada miejska w Limanowej oraz mieszkańcy Limanowej energicznie rozpoczęli akcję. Na wiecu, odbytym w tym celu 3 kwietnia, uchwalono wysłać do ministra Gąbińskiego depezę z protestem przeciw zamierzonej budowie stacji kolejowej w Łososinie górnej, z prośbą o rozszerzenie stacji kolejowej w Limanowej. Niezależnie od tego tak Rada miejska, jak i mieszkańcy Limanowej wnieśli odpowiednie petycje.

„Z geografii Galicji – Limanowa – „Słowo Polskie” nr 449 z 8 października 1914 r. Lwów



Pierzeja wschodnia limanowskiego rynku - początek ubiegłego stulecia.

Limanowa, (do drugiej połowy XVIII w. nazywała się Illmanowa), siedziba starostwa, leży w małej równinie, otoczonej ze wszystkich stron górami, 405 metrów nad poziomem morza, nad potokiem Starą Wsią, dopływem Soliny, uchodzącej z prawego brzegu do Łososiny, dopływu Dunajca. Miasteczko przeważnie drewniane, z domkami parterowymi, opatrzonemi starym zwyczajem w poddasza, przez co całe połacie wydają się, jakby były pod jednym dachem. Ludność zajmuje się przeważnie szewstwem, wyrobem grubego obuwia, używanego przez włościan, ludność wiejska powiatu trudni się przeważnie uprawą roli.

Z przeszłości Limanowej zanotować wypada mężną i skuteczną obronę mieszczan przed napadem zapitych i rozjuszonych tłuszc w czasie smutnych wypadków lutowych w roku 1846.

Miejskowy kościół parafialny rzymsko-katolicki drewniany, niewiadomej fundacji i założenia. Przechowują się w nim metryki od 1640 r. Do 1602 r. zawiadywali parafią kanonicy regularni de Poenitentia, zwani w Polsce Markami, później zaś duchowieństwo świeckie.

Ludność powiatu jest polska, należąca w części południowej do szczepu równiaków, nieróżniących się strojem, ani gwarą od włościan powiatu bocheńskiego, w północnej części do szczepu górali, nieodróżniających się od kliszczaków, t.j. mieszkańców powiatu myślenickiego.

Według spisu ludności z roku 1910 powiat liczył 81053 mieszkańców, w tem ▶



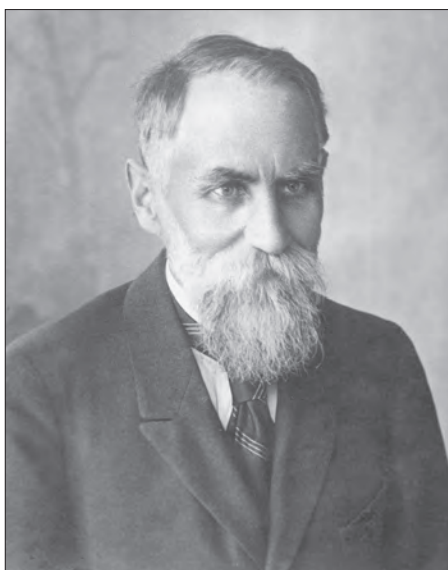
Na limanowskim rynku. Przełom XIX i XX wieku.

► 80997 Polaków, Ruskich 14, Niemców 40, innych 2. Pod względem wyznania liczone rzymsko-katolików 78050, grecko-katolików 26, żydów 3046, innych wyznań 41.

(W artykule znajduje się nieścisłość, bowiem w 1914 roku, kiedy ukazała się gazeta, drewniany kościół był już rozebrany, a budowany był nowy murowany stojący obecnie – przyp. red.)

„Wspomnienie pośmiertne po śp. Józefie Beku” – „Gazeta Podhalańska” z 26 grudnia 1931 r., Nowy Targ.

Może w żadnym innym zakątku Rzeczypospolitej Polskiej nie odbiła się śmierć śp. Józefa Beka tak żalosnym echem, jak w biednych górach w powiecie limanowskim, w którym przebywał on blisko 20 lat, jako sekretarz Rady Powiatowej. Przybył on tutaj z Warszawy w r. 1900, uciekając przed prześladowaniem Moskali. Marszałem powiatu Zygmunt Mars wyznał w nim wielki umysł i gorącą ochotę do pracy społecznej i mimo trudności ze strony ludności w Limanowej, zatrzymał go w powiecie. Przez 20 lat śp. Józef Bek, jako sekretarz Rady powiatowej, bojował z biedą, ciemnotą ludu góralskiego, napotykał w pracy tej na wielkie przeszkody, niezrozumienie ale z wiarą w lepsze jutro jak sam mawiał, pokonywał je i stworzył wielki



Józef Bek Fot. arch. Krystyny Mars-Gawlikowskiej

dorobek kulturalny, wysunął nasz powiat na jedno z czołowych miejsc pod względem rozwoju spółdzielni rolniczych, wzorowej gospodarki samorządowej.

W r. 1902 śp. Bek założył pierwszą w kraju powiatową szkółkę drzew owocowych, aby dochodem ze sadów powiększyć dorobek ludności. Dzięki temu powiat nasz w niedługim czasie zamienił się w krainę sadów i mógł wywozić do 300 wagonów owoców rocznie.

Chcąc ulżyć ludności przy zakupie żywności podczas przednówku założył

w r. 1909 pierwszą w kraju spółdzielnię handlową „Kosę”, która dała przykład innym powiatom górskim do zakładania tego rodzaju instytucji. Dzięki Jego pracy powstaje na terenie naszego powiatu najgęstsza sieć spółdzielni rolniczych, kas (ówcześnie Reiffeisena) zwalczających rozpanoszoną na wsi lichwę, sieć Kółek rolniczych itp.

Zdając sobie sprawę z tego śp. Bek, że nie wystarczy do ludu wiejskiego palnąć na wiecu obiecującą mówkę przedwyborczą, ale ten lud z miłością trzeba zrozumieć, zbliżyć się do niego, podnieść kulturalnie. W 1912 roku zakupił dla powiatu resztówkę Łososiny górnej i przeznaczył ją na zakład wychowawczy dla ludu wiejskiego. Wojna, powołanie na ministra do Warszawy przeszkodziły mu w wykonaniu tego zamiaru.

Powiat nasz jednak, mając ten ośrodek, położony w centralnym punkcie powiatu, blisko stacji kolejowej, mógł pokusić się o budowę i organizację Górskiej Szkoły Rolniczej w Łososinie Górnej, która została otwarta 19 stycznia 1929. Dzisiaj wychowuje już czwarty rocznik młodych rolników wracających po skończeniu szkoły na swój rodzinny zagon do wsi górskich, aby tam nieść lepszą nowinę, to „lepsze jutro”, w które śp. Bek tak gorąco wierzył.

Pracując w Warszawie, w Odrodzonej Ojczyźnie, na stanowisku wiceministra spraw wewnętrznych, potem na stanowisku dyrektora Biura Zjazdów, dla Samorządów, swoim doświadczeniem położył wielkie zasługi w organizacji samorządu w Polsce i w pracy nad podniesieniem kultury wsi.

Jeszcze trzy tygodnie temu mówił do piszącego te słowa: „Jadę na zjazd Samorządów do Krzemieńca. Trzeba długo jechać, bo widzi pan, wielka ta Polska, ale jeszcze ma złe drogi”. Znać było w słowach tych radość z odzyskanej Ojczyzny i troskę o dalszy jej pomyślny rozwój.

Powiat nasz limanowski głęboko odczuwa stratę „naszego sekretarza”, odczuwają ją wszyscy rolnicy w powiecie, dla których był przez swą pracę społeczną prawdziwym przyjacielem. Był to człowiek wielkiego umysłu, serca, wielki działacz społeczny i samorządowy. (Jan Drożdż – rolnik z powiatu limanowskiego).

Warto więc sięgnąć po dawną prasę zarówno z okresu galicyjskiego jak i z lat międzywojennych, aby zgłębić własną wiedzę o Limanowej. Zachęcam!

Fotografie: arch. albumu „Okrucy pamięci”

Wspomnienia harcerskie z lat 1945-1948

Wracając do dalszych przeżyć z tej wyprawy, szłyśmy przez wieś zamieszkałą kiedyś przez Łemków, ale opustoszałą w wyniku akcji „Wisła”, kiedy to wysiedlono ich na Ukrainę. W kuchniach stały jeszcze garnki na piecach, a w sadach widzieliśmy niezbrane owoce. Obraz ten utkwił mi w pamięci na całe życie, mimo że miałyśmy wtedy po 15 lat a za sobą okupację, uświadomiłyśmy sobie okrucieństwo ówczesnych władz.

W następnym roku nadszedł dzień złożenia przysięgi harcerskiej i odznaczenia Krzyżem Harcerskim. Było to 31 lipca 1946 roku. Wraz ze mną przysięgę złożyła Teresa. Marysia zaś złożyła przysięgę tego roku w grudniu. I co dziwne, jej uroczystość zapamiętałam lepiej niż swoją, może dlatego, że był śnieg, drzewa oszronione, piękne widoki, a było to na górcę, naprzeciwko obecnej ulicy Zygmunta Augusta.

W roku 1946 byliśmy również na obozie w Białce Tatrzańskiej. Ulokowano nas w dużej chałupie góralskiej. Z tego obozu zapamiętałam jedno zdarzenie. Pewnego ranka, po pobudce i odśpiewaniu modlitwy harcerskiej, drużyna zaintonowała piosenkę „*Nie damy Popradowej fali*”, po czym nasza trójka, stojąca jedna obok drugiej zaśpiewała:

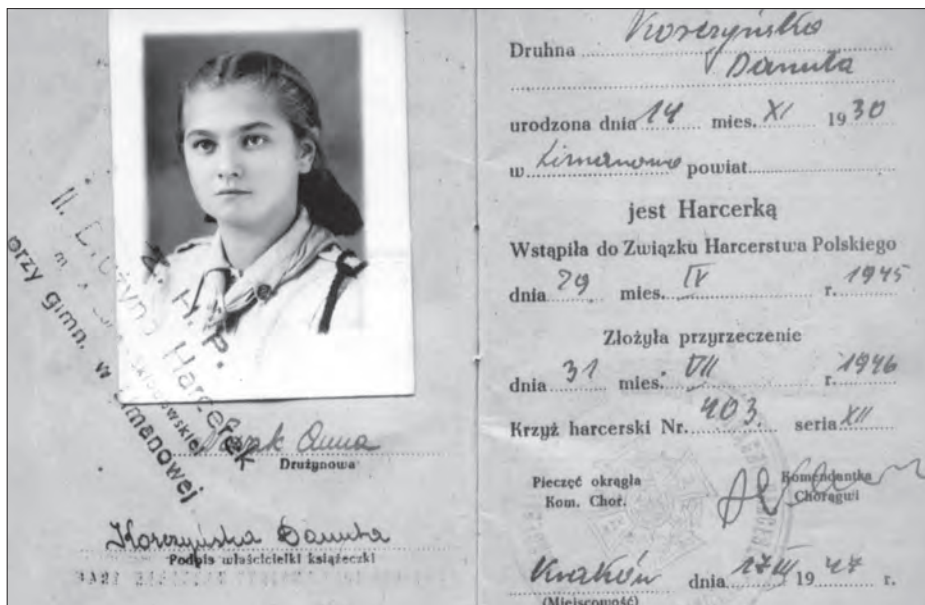
*Nie damy Wilna ani Lwowa,
Bo to jest ziemia nasza piastowa.
Nie chcemy tego co nam dali,
my chcemy to, co nam zabrali!*

Nasza hufcowa zmarła. Pamiętam jej przerażony wzrok, był to przecież początek okrutnego okresu stalinizmu. Wezwała nas, jakby to dziś powiedziano „na dywanik”. Kara polegała na obieraniu ziemniaków dla całego obozu.

W następnych latach byliśmy jeszcze na obozie w Piwnicznej, ale mało z niego pamiętam. Wiem, że była z nami mama Marysi, Pani Józefa Krasuń. Z tego obozu pochodzi zdjęcie, które załączam. Wspomnę jeszcze kilkudniowy pobyt w Krościenku, gdzie byliśmy pod opieką księdza Jana Rachwała. Byłam nieco szokowana, widząc go w czarnych podkolanówkach, krótkich harcerskich



Obóz harcerski w Piwnicznej. Od lewej stoją: Danuta Korczyńska-Suwała, Teresa Mikuła-Dusznicka, siedzi: Maria Krasuń-Kazimierzczak - 1947 rok. Fot. arch. Danuty Suwały



spodniach i bluzie. Niestety, nie zachowały się żadne zdjęcia.

W roku 1948 rozeszły się drogi naszej trójki, lecz jak już wspomniałam, cały czas byliśmy ze sobą w kontakcie. Wspomnę jeszcze, że bardzo opiekowała się nami prof. Eugenia Naturska. Na koniec, zacytuję jeszcze piękną piosenkę harcerską:

*Po całej Polsce o tej godzinie
Palą się watry i sypią skry.
Z tysiąca piersi mocna pieśń płynie
Harcerskie myśli, harcerskie sny.*

*Mienią się złotem krwawe płomienie,
myśl z nimi płynie hen w nieba próg.
Palą się serca, snują marzenia
I błogosławi harcerzom Bóg.*

I jeszcze nawiązanie do współczesności. Moja 5-letnia prawnuczka, gdy tylko przyjeżdża do mnie z Gdańska w odwiedziny, przed zaśnięciem mówi, „Babciu, zaśpiewajmy piosenki harcerskie”. Niektóre już zna na pamięć.

Wspomnienia te poświęcam moim nieodżałowanym przyjaciółkom Marysi i Teresie.



**BANK SPÓŁDZIELCZY
W LIMANOWEJ**

AUTOLOKATA

XIV edycja loterii

OSZCZĘDZAJ
Z AUTOLOKATĄ
i odjedź
KIA RIO!

NAGRODA
GŁÓWNA
**KIA
RIO**



Promocja trwa od 28.11.2016 r. do 28.02.2017 r.

W Loterii biorą udział osoby, które od 28.11.2016 r. do 28.02.2017 r. założą lokatę o nazwie AUTOLOKATA w dowolnej placówce Banku Spółdzielczego w Limanowej i utrzymają ją w całości do 31.08.2017 r. Loteria urządzana jest na podstawie zezwolenia Dyrektora Izby Celnej w Krakowie. Szczegóły loterii zawarte są w Regulaminie.

www.bs.limanowa.pl/autolokata



POMOC DROGOWA

- LAWETA
- HOLOWANIE
- NAPRAWA
- HDS DO 7t



 24h 600 045 045